Radosław
Lewandowski
Australijskie piekło
FRAGMENT POWIEŚCI
Gdybym wcielił się w jednego z bohaterów, przeżyłbym fantastyczną i pełną napięcia przygodę. Będąc czytelnikiem, otrzymałem o wiele więcej – mogłem ujść z życiem.
WRITERAT.PL

FRAGMENT POWIEŚCI

Australijskie piekło

Historia osnuta na faktach!

FRAGMENT POWIEŚCI

FRAGMENT POWIEŚCI

Radosław Lewandowski

Australijskie piekło

Historia osnuta na faktach!

FRAGMENT POWIEŚCI

Tytuł: Australijskie piekło
Copyright © for the text by Radosław Lewandowski 2020

Redakcja: Renata Nowak
Korekta: Sylwia Pańków-Tomczak, Tomasz Paszkiewicz
Projekt okładki: Tomasz Maroński
PR i marketing powieści: Writerat
Druk: WZDZ – Drukarnia Lega, Opole

Za projekt layoutu i przygotowanie do druku odpowia:
BUKEBUK.pl – Agnieszka Kluzik

FRAGMENT POWIEŚCI

Wszelkie prawa zastrzeżone. Książka, ani żadna jej część nie może być przedrukowywana, ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-957499-2-6
E-book: [ISBN 978-83-957499-0-2]

Podziękowania

FRAGMENT POWIEŚCI

Dziękuję znajomym i przyjaciołom, bez których pomocy ta powieść pozostałaby w szufladzie. Szczególnie Róży Sokołowskiej wraz z warszawską gromadką kuzynów i pierwszych czytelników. To Wy z uporem godnym lepszej sprawy przekonywaliście mnie do publikacji powieści „Australijskie piekło". Udało się.

Dziękuję Tomkowi Maronskiemu za przygotowanie projektu okładki i Renacie Nowak, która włożyła w każdą stronę wiele pracy. Renato, gdyby nie Twoja życzliwość i zaangażowanie, ten projekt byłby niczym żaglowiec z połamanymi masztami – bezradny w obliczu sztormów i wrogich korsarskich statków. Jednak teraz „uzbrojony po zęby" jest przeciwnikiem, z którym wszyscy muszą się liczyć.

Pochylam nisko głowę przed młodą i nieznającą barier redakcją portalu Writerat. Zdjęli mi z barków wielki ciężar związany z szeroko rozumianą promocją dzieła i uruchomieniem księgarni internetowej, nie żądając w zamian worka ze złotem. Zresztą wszyscy dobrze wiemy, że całe złoto świata trafiło niedawno do skarbca NBP.

Nie mógłbym zapomnieć o stowarzyszeniu Sztukater, które nie tylko objęło dzieło patronatem, ale też obdarzyło jego autora deszczem dobrych rad związanych z rynkiem i procesem wydawniczym w Polsce. Wiedza bezcenna dla każdego początkującego self-publishera.

Niezmiennie ślę ukłony również w stronę czytelników moich wcześniejszych powieści. Świadomość, że goszcząc w Waszej wyobraźni, sprawiam Wam frajdę, uskrzydla i daje kopniaka do pracy. Pisanie nabiera sensu.

Na końcu, ze względów redakcyjnych, dziękuję dużej grupie blogerów i pasjonatów, z którymi nawiązałem współpracę, przygotowując się do promocji powieści. Wymienię ich, nadmieniając tylko, iż pasja czytania czyni ludzi rozumnymi. Pomogli mi: Wiktoria Krakowiak (Aleksandrowicz), Weronika Szczechowska, Gabriela Bejma, Aleksandra Adamska, Adrianna Andrzejewska, Eliza Żywicka, Sandra Jurczyk, Felicja Jarnicka, Ewelina Przedpolewska, Kamila Bucka, Agnieszka Hrabak, Ewelina Kwiatkowska-Tabaczyńska, Małgorzata Nowak, Maria Gawron, Izabela Szczytkowska, Karolina Kosek, Izabela Wasilewska, Tomasz Paszkiewicz.

FRAGMENT POWIEŚCI

Rozdział 1

Onderkoopman Jeronim Kornelisz

FRAGMENT POWIEŚCI

Leeuwarden

Wielki Bram z uśmiechem charknął i splunął wprost na stojącego przed nim młodego mężczyznę. Długo czekał na okazję, by zdybać chudzielca na osobności, i jego cierpliwość została nagrodzona. Przez kilka chwil zdawał się z zaciekawianiem śledzić spływającą po policzku ofiary flegmę. Po prawdzie to szukał jakiegokolwiek pretekstu, by rzucić się na świętoszkowatego menonitę i zetrzeć z jego facjaty wyraz pobożnej wyższości, tak typowej dla tego pastorowego pomiotu od czasu, gdy Jero Kornelisz zagarnął dla siebie mlecznoskórą Lieke.

Ofiara stała nieruchomo, być może zbyt przerażona lub wzburzona, by wyrzec choćby słowo, by podnieść rękę i otrzeć plwocinę. Pogarda w kaprawych oczkach oprawcy przybrała niemal materialną postać. Od dziecka patrzył, jak ojciec rżnie zwierzęta w swojej jatce i zasmakował w ich strachu. Pływał w nim z coraz większą lubością, sycąc się przerażeniem. O tak, lubił to niemal boskie uczucie władzy nad życiem i śmiercią.

– Jesteś glistą, która wypełzła z błota tylko po to, by ją tam wepchnąć z powrotem – usłyszał Kornelisz. – Wchodzisz w paradę lepszym od siebie, zawracasz w głowach dziewkom gładką gadką i ja ci ten ozór wyrwę, razem wyrwiemy, co nie, Bo?

Tłuścioch wszędzie chodził z młodszym, podobnym jak kropla wody bratem i teraz ten skinął głową tak energicznie, iż zadrgały dwa lśniące od potu podbródki.

– Co, półmężczyzno, strach cię obleciał? A właściwie czego szukasz w pobliżu jatki mojego ojca?! Na przeszpiegi przyszedłeś? A może... po ochłapy?

– Bram. – Jeronim Kornelisz otarł wreszcie twarz rękawem luźnej płóciennej koszuli. – My, menonici, nie możemy dać się wodzić gniewowi na postronku, musimy zamknąć serca i umysły przed nienawiścią i żądzą zemsty. Nic do ciebie nie mam i niech każdy z nas idzie swoją drogą. A co do Lieke, to dobrze wiesz, że sama tak wybrała.

– Wybrała? Chędożyłem ją, aż nie mogła prosto ustać, a potem dałem bratu, by zrobił to samo. Podobało jej się i chciała więcej. Sam ją wyrzuciłem, gdy mi spowszedniała. Czepiała się z płaczem nóg i dopiero zapowiedź, że żenię się z inną, zdjęła ze mnie ten ciężar. Choć przyznam, iż te jej gęste kędziory miały swój urok. Nigdy nie byłem pewien, gdzie trafiam swoim nożem – zarechotał. – Czy dalej tak słodko jęczy, gdy...

– Łżesz, grubasie! – Jeronim czuł, jak krew uderza mu do głowy. – Zresztą po co byś się na mnie zasadzał, gdyby była ci obojętna? I nie legła z tobą, psie, bo gdym po ślubie brał ją do łożnicy, dziewiczą krew puściła. Ja nie mogę, ale Bóg mi świadkiem, że za te słowa, tłusta świnio, Pan cię ukaże. Zobaczysz!

– Pozwoliłem ci, kundlu, szczekać?

– Wywałasz go, Bram, a co nam zrobią, wywałasz. – Bo wyszczerzył zęby, jakby miał zamiar ugryźć syna pastora. – Wróci do Lieke lżejszy, to dziewka zrozumie, z kim powinna trzymać.

Na te słowa Bram wyciągnął zza pasa rzeźnicki nóż, ten sam, który dostał na zakończenie terminu u ojca, i przyłożył go do szyi menonity.

FRAGMENT POWIEŚCI

Dotknięcie zimnego metalu było niby przytknięcie żywego ognia do lontu nabitej armaty.

Strach, złość, pogarda dla samego siebie: wszystko zniknęło zastąpione zimną, przebiegłą wściekłością. Jero chwycił grubasa obiema rękami za ramię z bronią i skręcił tak, że dłoń z nożem znalazła się za jego plecami. Nie przestawał jednak. Wspomagany siłą rozpędu, szarpnął... Nagle z ust starszego syna rzeźnika wydobył się okrzyk bólu, a ostrze upadło na zdeptaną trawę. Niedawna ofiara zdawała się tego nie zauważać i pociągnęła jeszcze mocniej. Poprzez skowyt bólu do ich uszu dotarło charakterystyczne chrupnięcie, a zawodzenie przeszło w niemal niesłyszalny pisk. Role się odwróciły. Puścił niegroźnego już oprawcę i sięgnął po nóż.

Bram osunął się na ziemię, a na lnianych spranych portkach z chwili na chwilę rosła coraz większa plama wilgoci. Młody Kornelisz wziął broń do ręki i zważył, próbując obrać jak najlepszy chwyt. Widząc to, ranny grubas odpełzł w stronę stojącego nieruchomo brata. Tam skulił się i zamarł.

– Nie skończyłem jeszcze z tobą, wieprzu. Zapamiętasz, że nie wszyscy menonici są z miękkiej gliny ulepieni. Na pamiątkę zostawię ci to.

Zrobił kilka szybkich kroków i wbił czubek noża w okolice lędźwi rzeźnikowego pierworodnego. Ten, mimo rany, a może dzięki niej, zerwał się z ziemi i kuśtykając, rzucił się do ucieczki.

– Na co czekasz, Bo? Też chcesz poczuć, co znaczy zadrzeć z Jeronimem Korneliszem, synem woja, przed którym drżało kiedyś pół księstwa?

Temu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Bracia zatrzymali się dopiero dziesięć kroków od ojcowskiego obejścia i wtedy zaczęli słać w stronę syna pastora istne gromy.

– Bram! Poskarż się, a potnę cię całego! – krzyknął w odpowiedzi. – A żebyś nie zapomniał, oddam ci, co twoje!

Za braćmi poleciał zakrwawiony kawałek żelaza.

– My, menonici, jesteśmy niby dobra stal, z której tysiącem uderzeń Bóg wykuwa swoje ostrze! Pamiętajcie!

FRAGMENT POWIEŚCI

Tego popołudnia Jeronim wracał do domostwa, jakby mu kto ujął z barków worek trosk. Strach, który zobaczył w oczach grubasów, upajał.

Ojciec

– Dlaczego to robisz, Jero? – Mężczyzna o surowej, ascetycznej, pobrużdżonej przez wiatry i czas twarzy patrzył na młodzieńca pełnym wyrzutów wzrokiem. – Dlaczego robisz to sobie, pamięci matki i... Bogu?

– Ale co, ojcze?

– Nie igraj ze mną, synu, nie tym razem. Od kiedy pamiętam, ratuję twoją skórę i wyciągam za uszy z kłopotów, a ściągasz je niczym rzadkie gówno muchy. Nasi współbracia przymykali oczy na grzeszne uczynki i Bóg mi świadkiem, czynili to wbrew twojemu rodzicielowi. Mawiali przy tym, że ziarno jest jak kłos, z którego wyszło, że dobro przemoże ciemność, którą nosisz w sobie, byle dać mu czas i słońce. Nie zawsze jednak, jak widać. Jesteś dorosłym mężczyzną i nade wszystko masz duszę, o którą musisz dbać, i... żonę, która cię potrzebuje – dodał ciszej.

– Ja naprawdę nie wiem, skąd twoje zdenerwowanie, ojcze. Pomiędzy mną a Lieke dobrze się układa i nie sądzę, by przyszła ze skargą. Apteka prosperuje co prawda ze zmiennym szczęściem, ale...

– Podobno uczysz się władać szpadą u mistrza Bremena, co samo w sobie jest złem, ale też zaatakowałeś nożem młodego rzeźnika. – Starszy mężczyzna gwałtownie uciął synowskie wymówki. Miał dosyć jego jałowego mielenia ozorem, a może bardziej obawiał się o siebie, o to, czy zdoła wytrwać w srogości, jak sobie przyobiecał. To dziecię jego lędźwi miało zadziwiającą umiejętność skłaniania ludzi do swej woli. – Wbiłeś mu go w okolice krocza tak, że niewiele brakowało, a nigdy nie miałby już dzieci. Wiesz, że my, menonici, nie tolerujemy przemocy i noszenia broni. To jedna z pryncypialnych zasad obowiązujących w naszej gminie! Kto jak kto, ale syn pastora powinien znać te reguły!

FRAGMENT POWIEŚCI

– Ja? – Młodzieniec sięgnął po zajmujący środek stołu razowy, podsuszony już placek i oderwał kawałek. – Zostałem oczerniony, ojcze. – Włożył ciasto do ust i zaczął wolno przeżuwać.

Cisza zdawała się gęstnieć. Starszy mężczyzna nie spuszczał z niego ciężkiego spojrzenia. Syn popił cierpkim czerwonym winem i westchnął z rezygnacją.

– Kto ci doniósł, ojcze? Ten wieprz, Bram? A może to była ruda Ilse, ciągle wściekła, że to Lieke wybrałem, a nie ją?

– A czy to ważne? Czy sądzisz, że ukryjesz swoje postępki przed Bogiem? On tu jest najwyższym sędzią.

– I nie zamierzam. A chodzę do Bremena, bo ktoś musi mnie nauczyć, jak się bronić. Ty, ojcze, choć mógłbyś, nie uczynisz tego. Gdy byłem dzieckiem, słyszałem szeptane opowieści o moim rodzicielu, który walcząc w książęcej armii, wykazywał się takim męstwem, że wrogowie drżeli na sam dźwięk jego imienia. Marzyłem, że kiedyś... – Młody mężczyzna zerwał się od stołu.

Pastor ani drgnął, tylko jego twarz z chwili na chwilę coraz bardziej przypominała bryłę mlecznego wosku.

– Nie mogę nadstawić drugiego policzka, ojcze, gdy takie ścierwa jak ten tłuścioch Bram plują mi ze śmiechem w twarz. Nikomu na to nie pozwolę! Nikomu! Wiesz, co on mówi o mojej żonie? Że chciała i ciągle chce jego, a ze mną jest tylko dlatego, iż przygruchał sobie inną, a ją wychędożył i pogonił precz! Gdy, jak nakazuje nasza reguła, poszedłem ze słowem i prośbą o umiar, wyśmiał mnie. W świecie ludzi prostych znaczenie ma bowiem tylko siła. – Na wspomnienie tych zdarzeń na wysokim czole mężczyzny nabrzmiały żyły. – Ten śmierdziel, wymachując mi przed nosem nożem, stwierdził ze śmiechem, że my, menonici, jesteśmy niczym krowy, które on ćwiartuje w swojej jatce, a nasi ociężali na umyśle mężczyźni nie potrafią bronić swoich niewiast, więc nic, tylko brać i dymać, ile wlezie. To jego słowa, ojcze! – Syn w zapamiętaniu uderzył pięścią w stół. – Nie wytrzymałem, ale każdy normalny mężczyzna na moim miejscu zachowałby się podobnie. Wyrwałem mu ostrze i... – Zamilkł.

FRAGMENT POWIEŚCI

– Synu! – Ojciec przerwał brzemienną, ciężką ciszę i stanął na wprost młodego mężczyzny. Z surowej jeszcze przed chwilą twarzy biły teraz: rozpacz, miłość i... lęk? – Myślałem, że z czasem nauczę cię uległości, że zrozumiesz, iż życie to próba, przed jaką stawia nas dobry Bóg. A my pokorą i pracowitością winniśmy pokazywać Panu, iż choć to przez grzech zostaliśmy od Niego oddzieleni, warci jesteśmy łaski i poświęcenia Syna Bożego Jezusa Chrystusa. Tak, popełniałem w młodości błędy i mam na sumieniu więcej niewinnej śmierci niż niejeden łotr, ale dzięki Bogu i twojej matce przyszło opamiętanie. Od tego czasu kroczę drogą Pana, chyląc nisko posypaną popiołem głowę, i zapewne nieudolnie staram się odkupić winy. Dlatego właśnie przystaliśmy do menonitów i to było najlepsze, co mogło nas spotkać. Dar, na który nie zasłużyłem. Znaleźliśmy wśród nich prawdziwych braci, siostry i spokój. Nim twoja matka zmarła, byliśmy tu bardzo szczęśliwi – dodał jakby sam do siebie.

– Ależ ojcze, przysięgam...

– My nie składamy przysiąg! – W głosie pastora znowu zabrzmiała stal. – Tak jak nie piastujemy wysokich urzędów, bo i Syn Boży tego nie czynił! Kroczymy śladami Jezusa Chrystusa opisanymi w Biblii, ona jest bowiem początkiem i końcem wiedzy o świecie. Czy wszystko, czego cię uczyłem, było jedynie rosą u zarania słonecznego dnia? Mgiełką w obliczu wichru?

– Nie! Było słabością ubraną w święte słowa! – krzyknął młody mężczyzna. – Poddaniem się losowi bez walki! Gardzę wami wszystkimi, waszą naiwną świętoszkowatością, pokorą, uniżonością i tą gminą, w której schowaliście się przed światem! To tchórzostwo, ojcze, i ty też jesteś tchórzem! Bóg stwarza wiele okazji, ale tylko dla tych, którzy mają odwagę brać! Nie ustrzelisz ptaka, całymi dniami przesiadując w domostwie! Nie zdobędziesz złota, orząc latami lepką ziemię!

Starszy mężczyzna chwiał się po każdym zasłyszanym słowie, jakby miały one wagę sztabek żelaza.

– Oby dobry Pan wskazał ci właściwą drogę, synu. Grzeszysz, od kiedy nauczyłeś się mówić. Grzeszysz hardością, wygórowaną ambi-

FRAGMENT POWIEŚCI

cją, zawiścią i nieposkromioną dumą. Swoimi uczynkami wpędziłeś matkę do grobu, a to była niemal święta kobieta i nie zasłużyła na taki los. Jedynym jej szalonym wyczynem było to, iż wyszła za wojaka i hulakę w przekonaniu, że dzięki miłości sprowadzi go na właściwą drogę. Udało się, ale zapomniała poprosić Ojca w niebie o taką samą łaskę dla swojej latorośli. Potem... – Westchnął. – ...było już za późno. Rzuciłeś, Jero, o jeden kamień za dużo. Może jesteś zbyt podobny do mnie i za to winię tylko siebie. Widocznie sprawiedliwy Pan ukarał mnie takim synem za krzywdy, których kiedyś się dopuściłem. Przez kilka szczęśliwych lat miałem nadzieję, że mi wybaczył, że... – Machnął ręką. – ...ale nie, i słusznie. Ja sam nie wybaczę sobie nigdy.

Pastor, z którego jakby uszło powietrze, ruszył w stronę jedynej latorośli. Gdy stanął przed młodym mężczyzną, uniósł gwałtownie dłoń i... położył na synowskim policzku, a uczynił to tak delikatnie, iż ten zamarł zaskoczony, spodziewając się raczej uderzenia niźli pieszczoty. Pogłaskał go jak dawniej, gdy ten był jeszcze małym chłopcem, a w oczach mężczyzny zaszkliły się łzy.

– Z bólem to czynię, ale nie pozostawiasz mi wyboru, synku, i wierzaj, gdybym i tym razem mógł przyjąć razy na swoje plecy, uczyniłbym to. Blizn na nich jest bowiem ciągle zbyt mało. Jednak od jednego psującego się jabłka pleśnieje cały ich kosz, więc robię to, co muszę. Radziłem wspólnie ze starszymi, co z tobą uczynić, i decyzja jest nieodwołalna. W myśl zasad obowiązujących w naszej wspólnocie wykluczam cię, Jeronimie Korneliszu, z naszej gminy. Nie jesteś już mile widziany w moim domu i proszę cię, byś do jutra opuścił Leeuwarden. Niech moja kara będzie wielka, bo w pełni na nią zasłużyłem, ale nie mam już syna.

Ostatnie zdanie pastor Michael Kornelisz ledwie wyszeptał. Opadająca dłoń musnęła tęsknie lekko pofalowane włosy młodego mężczyzny. Jakby chciała się z nimi pożegnać, dotykiem zapamiętać ich fakturę, śliskość i kolor, tak boleśnie podobne do matczynych.

Kilka chwil stali w kompletnej ciszy, nim do zaskoczonego takim obrotem spraw aptekarza dotarło znaczenie wypowiedzianych słów.

FRAGMENT POWIEŚCI

– A ja ojca! I rację miał rzeźnik Bram, że nasi mężczyźni są jak wałachy! Szkoda, że go wtedy nie rozprułem, a miałem chęć. Pożałujesz tego, ojcze, zobaczysz! – Porwał ze stołu kapelusz i wybiegł.

Wiatr zamiótł jesiennymi liśćmi, rozsypując je nierównym wachlarzem po poczerniałych deskach podłogi. Zwykle pedantyczny gospodarz nie zwrócił na to uwagi.

Starszy Kornelisz blady niby sama śmierć wyszeptał:

– Już żałuję, synku, ale nie dałeś mi wyboru. Wybacz, kochana żono, że okazałem się złym nauczycielem. Gdybyś żyła, jak zawsze zaradziłabyś najgorszemu. Wybacz mi, Boże, pychę, bo kimże jestem, by próbować zmienić Twe plany? Pyłem na wietrze, śladem stopy na mokrym piasku, czarnym pustym ziarnem. Boże... – Osunął się na kolana w modlitwie. Potem jakby w zwolnionym tempie upadł na bok i tak już pozostał. Gdy przestało bić serce, ściągnięta bólem twarz rozpogodziła się i wygładziła. Dusza menonity ruszyła do domu Ojca.

Tydzień później w lasku nieopodal Leeuwarden psy znalazły poćwiartowane ciało Brama, syna rzeźnika, a raczej to, co z niego zostawiły dzikie zwierzęta.

FRAGMENT POWIEŚCI

Haarlem, kilkanaście lat później

– Ma żyć, słyszysz! Musi żyć, bo... bo... – Mężczyzna zakrztusił się śliną i zamilkł. Bezwiednie otarł usta wyświeconym mankietem, znacząc mokrym śladem jego niezbyt czystą powierzchnię. Po skroni, meandrując pomiędzy nabrzmiałymi żyłami, płynęła ciężka, tłusta kropla potu.

– Panie Kornelisz, robię wszystko, co mogę, wszystko. Ale ona – zaczął medyk i wskazał ruchem głowy dziwnie ciche niemowlę – jest teraz w Boskich, a nie ludzkich rękach.

Siwowłosy starzec szybko się przeżegnał. Leczył z francy starych i młodych, kobiety i mężczyzn, znał się na swojej robocie. Ale niewin-

na duszyczka tego dziecięcia już niemal była w niebiesiech, o ile taka będzie wola Pana.

W ciemnej, nieco zatęchłej izbie rozlegało się ciche kobiece zawodzenie. Narastało niby odgłosy zbliżającej się burzy, przenikało aż do kości, póki gospodarz nie uciął go gniewnym, jakby zwierzęcym warknięciem. Na stojącym w kącie skromnym łożu siedziały dwie kobiety. Jedna odziana w pomiętą czarną suknię z wyłożonym koronkowym kołnierzem, druga skrywała łaty w ubiorze długim lnianym fartuchem. I właśnie ta pierwsza skuliła się teraz z pięścią przyciśniętą do ust, jakby w ten sposób chciała powstrzymać rodzące się w gardle dźwięki.

Kornelisz dla dodania mocy słowom uderzył kułakiem w otwartą dłoń.

– Ale... szara maść... dlaczego ona nie pomaga?! W takich razach to dobre lekarstwo przecież! Zrobiłem ją, jak należy, nie szczędziłem *hydrargyri*[1] i dałem jej dobre trzydzieści dni sta?!

Starzec jakby nie słyszał.

– No! Mówże pan!

– Gdyby była starsza. – Konsyliarz przykrył dziecię lnianym ręcznikiem, chowając przed światem liczne ropnie.

Obok starych, przyschniętych pod pokrywą z masy rtęciowej pojawiły się nowe. Na bladej twarzy trzymiesięcznego oseska widać było otwarte rany, a usta wykrzywiał wielki guz. Połyskiwał teraz w migotliwym blasku świec, napęczniały i jakby żywy pod cieniutką skórą.

– Poczekaj, na miłość Boga, człowieku, poczekaj! Musi być jakiś sposób! – Kornelisz zaczął szarpać swoje rzednące powoli włosy. – My... ona... długo nie mogliśmy mieć dziecka... A gdy Pan zesłał nam... – Zamilkł.

– Kto jak kto, ale ty, panie aptekarzu, dobrze wiesz, co to za diabelstwo. I dorosłego marynarza potrafi pozbawić rozumu, albo i życia. A co dopiero takie niebożątko. I nie myśl, żem bez serca, ale byłoby

FRAGMENT POWIEŚCI

[1] *Hydrargyri* (niderl.) – rtęć metaliczna. Wspólnie z lanoliną bezwodną, tłuszczem wieprzowym i łojem baranim wchodziła w skład szarej maści.

większym okrucieństwem zwodzić was nadzieją na wyzdrowienie, gdy... – Nie dokończył, nie musiał.

– Wiem. – Ojciec zaczął chodzić w tę i z powrotem. – Od kiedy wystąpiły pierwsze objawy, kąpiemy ją w odwarach z żywicy gwajkowej i wygrzewamy w piecu, by poszły poty. Ale może jest jeszcze coś? Na zmiłowanie boskie, jak braknie czego w składziku, to zdobędę, choćbym musiał kraść i żyły pruć!

– Gdyby miała kilka lat, wtedy popuściłbym krwi, a i organizmu choroba tak szybko by nie zmogła. Wtedy tak, ale... – Medyk ciężko westchnął, wyprostował się i zanurzył dłonie w misce z wodą. Wytarł je o nie najczystszą szmatkę i rozcapierzył palce na oczach gospodarza. – Jestem tylko człowiekiem i to, co ludzkie, zrobiłem. Nic tu po mnie, panie Kornelisz, ja się już tu na nic nie zdam i lepiej jakiego duchownego sprowadźcie. – Mówiąc te słowa, zaczął pakować przyrządy do skromnej, wysłużonej torby.

– Musisz pan coś zrobić! Musisz! To moje jedyne dziecię! Jak rzekłem, Bóg długo nam nie błogosławił potomstwem, myślałem nawet...! – Zdesperowany ojciec doskoczył do starca i zaczął nim potrząsać niby workiem rzepy.

Medyk krzyknął zaskoczony. Na raptusa przyszło opamiętanie. Jakby w zwolnionym tempie i niechętnie dłonie rozwarły chwyt.

– Wybacz, panie. To... ja... ona... – zaczął młodszy mężczyzna, a potem zamilkł.

Cichy kobiecy jęk był jedyną odpowiedzią.

Już wychodząc, starzec zamarł w progu, odwrócił głowę w stronę ciemnej izby i rzekł:

– Niestarzy jesteście, to i dobry Bóg pobłogosławi jeszcze pociechami. Jeno ostrożni być musicie, choróbsko bowiem samo nie wlazło pod wasz dach, panie Kornelisz, pomiarkujcie, że samo nie wlazło.

– Ale my... ja... nie...

Medyk nie słuchał. Skrzypnęły drewniane drzwi i tyle go było widać. Był tanim, a co za tym idzie wziętym konsyliarzem w tej dzielnicy Haarlemu i miał przed południem jeszcze trzy umówione wizyty. Za

FRAGMENT POWIEŚCI

sobą zostawił zatęchłą rozpacz i beznadzieję, nie było bowiem na całym świecie uczonego męża, który zdołałby uratować to biedne dziecko.

– Wola boska. – Westchnął i podniósł do ust niewielki krucyfiks, który nosił na piersiach. Przyzwyczaił się do śmierci, była to bowiem codzienność w brudnych i głodnych dzielnicach Haarlemu, nijak jednak, i to pomimo wielu lat posługi, nie mógł przejść spokojnie obok cierpienia niewinnych dzieciątek. Bo i za cóż je karano?

Domownicy po jego wyjściu trwali kilka długich chwil w bezruchu niby na płótnie niderlandzkiego malarza.

– On ma rację, Lieke. – Pan domu pierwszy otrząsnął się z odrętwienia. – Mała musiała zarazić się od kogoś z nas. Ja nie mam wrzodów, a ty...

– Co ty mówisz, Jeronim? Co ty mówisz? Dobry Bóg niech się ulituje nad twoją biedną głową.

– Rozbieraj się! – Rozkaz zabrzmiał niczym warknięcie głodnego zwierzęcia.

– Jero, nie chcesz chyba...

– Rozbieraj się – powtórzył przez zaciśnięte zęby.

Kobieta wstała z posłania i drżącymi rękami zaczęła rozsupływać troki. Szło jej opornie, palce nie trafiały w pętle, ale przy pomocy służki uwolniła w końcu ramiona i podeszła do męża. Ciężkie białe piersi drgające w rytm kroków znieruchomiały, a na dużych brązowych sutkach zamgliły się krople matczynego mleka. Stanęła przed nim zawstydzona.

– Pora karmienia, panie mę... – Niezdarnie próbowała zetrzeć płyn, ale podrażnione tym ruchem brodawki trysnęły, rosząc podłogę białymi kroplami. Kilka dotarło do twarzy mężczyzny. – Wybaczcie, ja... – Zamknęła oczy porażona bezmiarem własnego bezwstydu.

– Wszystko – warknął przez ściśnięte nagle gardło.

– Wszystko... co?

– Zdejmij z siebie wszystko, kobieto! – Otarł twarz grzbietem dłoni.

Po chwili suknia w nierównych fałdach opadła na deski podłogi. Lieke była jeszcze gładką, pulchną niewiastą o skórze białej niby mąka

FRAGMENT POWIEŚCI

i rozłożystych biodrach. Z ciągle jędrnym ciałem, niczym obiecująca ukojenie i spełnienie Matka Ziemia, nieodmiennie wzbudzała w mężu pożądanie. Nawet teraz jego wzrok powędrował poniżej talii, by znieruchomieć na wysokości gęstych kędziorów, których ostry zapach... Szybko wciągnął i wypuścił powietrze, potem raz jeszcze i kolejny... Potrząsnął głową, by oczyścić myśli. Z trudem podniósł wzrok.

Patrzyła na niego ze zgorszeniem.

– Tak się nie godzi, mężu – wyszeptała bezkrwistymi wargami.

– Ja mówię, co w tym domu jest dobre, a co złe. – Doszedł już do siebie i po niedawnej słabości pozostał tylko nieco drżący głos. – A godzi się patrzeć na śmierć tak długo wyczekiwanego dziecka? – Sięgnął po stojący na stole ogarek świecy, jeden z kilku, które pozostały po niedawnych oględzinach bakałarza. Inspekcję przeprowadzał bardzo drobiazgowo. Nagle przyklęknął. – A to? – Wskazał palcem na niewielkie obrzmienie na podudziu.

– Pojawiło się cztery dni temu. Nasza córka była już wtedy od dawna chora. – Łzy nie ciekły po twarzy Lieke Kornelisz tylko dlatego, że wcześniej wszystkie wypłakała. – Nie mówiłam nic, panie mężu, bo nie chciałam dokładać zmartwień.

– Na to wygląda – mruknął pod nosem. – Wtórne zakażenie. Wybacz mi, moja miła, diabeł miesza w głowie od tego wszystkiego, żywi się naszym bólem i wydobywa na wierzch to, co najgorsze w człowieku. – Wyprostował się, gasząc poślinionymi palcami knot. Nagle jego wzrok powędrował w stronę służki, która w ciemności panującej w suterenie zdawała się teraz jeszcze jednym cieniem, zbitkiem nieruchomej szarości.

– Amy, podejdź.

Amy Wood, która dopiero zeszłej wiosny przybyła do Haarlemu, wstała i zrobiła niepewnie dwa kroki w stronę rozsierdzonego pana. Ponaglona gestem zatrzymała się obok odziewającej się Lieke. W Niderlandach miała zarobić trochę burgundzkich rijksdaalderów, a może i nawet znaleźć męża. Pół wsi się złożyło, by mogła przypłynąć do Amsterdamu. Przywiezione z domu pieniądze szybko się jed-

FRAGMENT POWIEŚCI

nak skończyły i jak dla wielu innych wyspiarek jedynym ratunkiem okazali się marynarze. Niektórym co śmielszym młodym kobietom podobało się takie życie, ale nie bogobojnej Amy. Pijani i spragnieni uciech ludzie morza robili to gwałtownie, nie zważając na ból, jaki przy tym zadawali. Pomagała mocna jałowcówka, ale akurat ją los pokarał słabym żołądkiem. A najgorsze, że po wszystkim czuła się zbrukana i musiała chodzić do świątyni po rozgrzeszenie. W wielkim Amsterdamie, w którym niczym w ogromnym tyglu mieszały się wszystkie kultury znanego świata, były też katolickie kościoły. Dostawała rozgrzeszenie po obsłużeniu swoim ciałem tłustego i stale spoconego księdza. Nie miała innej monety, by zapłacić za odpust.

„Pan nasz życzy sobie tego, Amy – mówił w zakrystii, obserwując, jak niechętnie zdejmuje niezbyt czyste suknie. – Jestem pomazańcem i uświęcam swoim nasieniem glebę splugawioną przez nierząd i rozpustę. Nie płacz, kobieto. – Podchodził do niej, podwijając przód swojej szaty. – Nie tylko oczyszczę twą nieśmiertelną duszę, ale umocniony siłą mego kapłaństwa ustrzegę cię w ten sposób od chorób wszelakich".

Zawsze też, gdy w nią wchodził od tyłu, chłostał jej pośladki wierzbowymi witkami, twierdząc, że zadaje jej pokutę. Sapał przy tym i tryskał śliną, wykrzykując egzorcyzmy, które miały z niej wypędzić szatana. Godziła się i na to, czymże bowiem była, by kwestionować wyroki sługi Bożego? Prochem marnym, pyłem na podeszwie, zwykłą nierządnicą. Po wszystkim dostawała jeszcze ciepłą strawę i wypełniona nasieniem i zupą opuszczała święty przybytek. Czuła się okropnie, ale zasługiwała na taki los.

Uciekła przy pierwszej okazji do innego miasta. W Haarlemie Bóg miłościwy uśmiechnął się do swojej wiernej, choć niegodnej służebnicy i obdarował pracą piastunki u małżeństwa Korneliszów. Wszystko było dobrze, do czasu...

– Jestem, panie – wyszeptała.

– Zrzuć suknię.

– Nie godzi się, panie, nie godzi się – załkała, powtarzając za Lieke.

FRAGMENT POWIEŚCI

– Rób, co mówię, kobieto! Jeśli nie chcesz po dobroci, to zedrę ją z ciebie siłą!

Służąca zamarła, a potem jakby w zwolnionym tempie zaczęła rozwiązywać troczki. Nie musiała zrzucać całej sukni ze spranego płótna. Wystarczyło, że wyswobodziła rękę, by w panującym w izbie półmroku zobaczyli wrzody i krwawe rany.

– Suko! – Jeronim Kornelisz zadał pierwszy mocny cios. Poczuła, jak podłoga usuwa jej się spod stóp. – Ty diabelski pomiocie, ladacznico, portowa dziwko, zabiję cię wszetecznico, zabiję! – Kopał piastunkę w napadzie szału. – Bodajby cię, lafiryndo... – Któryś z kolejnych ciosów trafił młodą kobietę w usta, wybijając jej kilka zębów, inny wylądował na nagiej piersi, wydobywając z gardła Amy nienaturalny pisk.

– Mężu?! – Lieke nabrała głębiej powietrza i powtórzyła głośniej: – Mężu, nie możesz tak...

Uderzył na odlew, z całych sił.

– Nie jesteś tu bez winy, Lieke, nie upilnowałaś naszego dzieciaka – syknął. – Twarz Jeronima Kornelisza przypominała teraz straszliwą maskę dzikiego bożka.

Amy, korzystając z okazji, zaczęła czołgać się w stronę wyjścia i pewnie tylko dzięki temu tego dnia uszła z życiem. Wężowym niemal ruchem wspięła się po paru stopniach i głową pchnęła drzwi, by z głośnym chlupotem wpaść do płynącego tuż za progiem rynsztoka. Nie zważając na nic, wypełzła na środek brukowanej ulicy. Przypominała wielkiego brudnego szarego robaka, który wychynął przez jakiś straszny przypadek z czeluści ziemi. Jak i ta bestia, zostawiała na suchym podłożu mokry, oślizły ślad.

Życie w Haarlemie toczyło się wartko. Śpieszący w swoich sprawach zamożni mieszczanie mijali kobietę z wyrazem obrzydzenia na twarzach, bardziej dbając o to, by szykowne satynowe i jedwabne stroje nie miały styczności z utytłaną, na wpół nagą dziewką. Dla większości była niewidzialna niczym bezpańskie psy, których zawsze kilka kręciło się w zasięgu wzroku. Ten i ów rzucił co najwyżej zacie-

FRAGMENT POWIEŚCI

kawione spojrzenie na stojącego w drzwiach kamienicy gniewnego mężczyznę w sile wieku.

Amy zdołała wstać i kulejąc, z przyciśniętymi do podołka połami sukni, oddaliła się w stronę rzeki.

– To jeszcze nie koniec, słyszysz?! Zapłacisz mi za chorobę dziecka, suko! – Stał kilka długich chwil, zaciskając bezsilnie pięści. Pożółkłe od odczynników paznokcie przebiły poplamioną skórę, ale nie czuł tego bólu.

Chciał też ochłonąć, dać się wypalić wściekłości, ale ona nie zamierzała gasnąć. Gorzała teraz niczym wyjęta z ognia smolna szczapa. Co jeszcze ma go spotkać w życiu? Czy ojciec, nim sczezł w tej zapyziałej, menonickiej osadzie, rzucił na niego jeszcze klątwę? A może to kara za śmierć tego rzeźnika, Brama? Zarżnął go niczym świnię i zrobiłby to jeszcze raz. Wszystko za odebranie domu i należnej ojcowizny.

Lieke była tam, gdzie ją zostawił. Bił, dopóki wystarczyło sił, by w końcu, porwawszy z półki w spiżarce dwie flaszki taniego wina, uciec, schować się do warsztatu. Znajome zapachy ziół i medykamentów podziałały uspokajająco, resztę zrobił trunek.

Kolejnego ranka córka wciąż żyła, a Jeronim Kornelisz zastał żonę klęczącą i modlącą się u jej wezgłowia. Chciał wyjść, ale ten widok go zatrzymał. Poczuł w sercu ukłucie uczucia, o którego istnieniu niemal zapomniał. Kiedyś, jakby w innym życiu, kochał tę kobietę i marzył o spokojnym, wspólnym, wypełnionym krzykiem dzieci domu.

Co się stało? Dlaczego nasz los wygląda niby odbicie w krzywym zwierciadle? Nie jestem złym człowiekiem, może porywczym, ale nie złym. Tylko codzienny mozół powoduje twardnienie serc, jako alternatywę oferując szaleństwo.

– Wybacz, diabeł mnie opętał, jak zobaczyłem u tej ladacznicy... Wybacz, kochana. – Przyklęknął i objął ją wpół. Lieke zadrżała, jakby gotowała się do ucieczki, ale dokąd miała uciekać? Była przecież sama w tym mieście.

– Mąż jest panem i władcą kobiety – rzekła cichym, niewyraźnym głosem – albowiem jak twierdził apostoł Paweł w Liście do Efezjan:

FRAGMENT POWIEŚCI

„Żony, bądźcie poddane mężom swoim jak Panu, bo mąż jest głową żony, jak Chrystus Głową Kościoła..."[2].

– Ale ja nie na ciebie byłem wściekły, przecież wiesz. I nawet jak teraz myślę, nie na tę cholerną, durną angielską sukę.

– A na kogo, mój panie mężu? Kto tu jest winny? – Czysty lniany czepiec zakrywał opuchliznę na twarzy, ale zniekształcone wargi z trudem układające słowa, boleśnie przypominały o wczorajszym wybuchu.

– Bóg! – warknął. – To On dał nam tę długo wyczekiwaną miłość, by gdy zapłonie wielkim, jasnym ogniem, sypnąć piachem, gasząc młode życie. Umiera w mękach, sama widzisz. Cóż to za wszechwładca, który niewinne dziecię...

– Milcz! – Tym razem usłyszał żelazne nuty. – Jeśli chcesz mojego przebaczenia, będziesz chodził teraz na msze do Bakenesserkerk, a być może twoja nieśmiertelna dusza zostanie wezwana przed oblicze Pana. Jeśli nie – ucięła jego próbę protestu – nigdy się już do ciebie nie odezwę. – Gwałtowny ruch głową spowodował opadnięcie czepca i dopiero teraz dało się zobaczyć w pełnej krasie krwawe sińce i nierówne, obrzmiałe pęknięcia, które wykrzywiały twarz małżonki. Było jeszcze coś. Lieke patrzyła mu prosto w oczy, i to patrzyła hardo.

I ta inność, a może wypowiedziana przez zwykle potulną żonę otwarta groźba, pozbawiły go rezonu. Był też pewien jak samej śmierci, że dotrzyma słowa. Raz już stracił rodzinę i nie zamierzał dopuścić, by to się powtórzyło. Choć z drugiej strony...

– Wiesz, że przez tych świętoszkowatych ludzi musiałem opuścić rodzinny dom – wyszeptał. – Że straciłem ojca i wszystko musiałem zaczynać od początku. Nie każ mi słuchać ich kazań, których jedynym celem jest spętanie człowieka, przygniecenie go olbrzymim poczuciem winy.

– Twoja decyzja, mężu. Znasz moje warunki.

– Moja? Z nożem przy gardle?

FRAGMENT POWIEŚCI

[2] Ef, 5, 22-23.

– Wiesz co, Jero, czasem mam wrażenie, że pod twoją skórą czai się dzika bestia gotowa rozerwać powłokę i wyskoczyć na boży świat. Zaczynam się ciebie bać, panie mężu, i jeśli nóż na gardle ma to zmienić, niech tak będzie.

Od tego dnia zaczął bywać w kościele i musiał przyznać, że czuł ulgę po każdej wizycie. Jakby oddawał cząstkę cierpienia grubym murom, luterańskim współbraciom i wysłużonym ławom, ale boskie sprawy i sądy są dla Boga, a to ludzka sprawiedliwość powinna dosięgnąć Amy Wood. Powinna cierpieć tak jak ludzie, którym to cierpienie zgotowała. Żadne modły i kazania nie zmieniły planów aptekarza.

Wniósł sprawę do grodzkiego sądu i przez kolejne tygodnie tam próbował dochodzić praw. A żądał tortur i śmierci w męczarniach dla roznoszącej choroby przybłędy. Sprawa, która zdawała się prostą i klarowną, przeciągała się ponad miarę. Znający się na prawie suto opłacani doradcy uspokajali, że wygrana jest tylko kwestią czasu, ale jemu właśnie tego czasu brakowało. Dość patrzeć, jak służka wsiądzie na jakiś statek, i szukaj wiatru w polu. Albo nie daj Bóg zemrze z głodu, nie zaznawszy przed śmiercią męczarni.

Interesy szły coraz marniej. Po prawdzie to nie miał kto ich pilnować, aptekarz spędzał bowiem całe dnie w sądzie albo na śledzeniu Amy Wood.

Niepostrzeżenie, w ferworze codzienności, nadszedł TEN dzień. Bóg zabrał duszę niewinnego dziecka, a przynajmniej taką żywili nadzieję. Było to dla wszystkich niby przecięcie wrzodu. Śmierć osoby kochanej nie jest najgorsza, znacznie trudniejsze bywa bezradne patrzenie, jak cierpi i niknie w oczach. Strach o każdym poranku, przy każdym głośniejszym rzężeniu, nocne czuwanie w nasłuchiwaniu nikłego oddechu. Pogrzeb córki mężczyzna opłacił już za pieniądze pożyczone u lichwiarzy, stawiając w zastaw swoje skromne mieszkanie i aptekę.

Ale to nie był koniec jego porażek. Kolejnym ciosem okazał się werdykt sędziów, którzy ustalili, iż nie mogą bezsprzecznie orzec, czy dziecko zaraziło się od matki czy służki, jako że u jednej i u dru-

FRAGMENT POWIEŚCI

giej stwierdzono objawy choroby. Ba, ich zdaniem mogło być też tak, iż choroba przyszła z powietrzem lub z klątwą jakiegoś zawistnego sąsiada. Potrzebne jest, perorował sędzia, bardziej dogłębne zbadanie sprawy. Nie pomogło, że aptekarz opłacił świadczących za nim medyków. Zrozpaczony ojciec podczas poufnej rozmowy z przewodniczącym składu usłyszał, że znaczny pieniężny datek mógłby przyśpieszyć opieszałą procedurę, a być może i nastawić sędziów przychylniej do argumentów powoda. Zdesperowany nie miał już jednak co zastawiać.

Niewiele jest w życiu człowieka stanów bardziej wyniszczających od bezradności. Od sytuacji, gdy całym ciałem i duszą przekonany jest do swoich racji, a los okazuje się nieczuły na moc tych przekonań. To jakby związać pana domu i na jego oczach usiec domowników, zostawiając nieszczęśnika, by żył z myślą, iż być może mógł zrobić coś, cokolwiek, co byłoby w stanie zmienić bieg wydarzeń. Jeronim wybiegł z budynku sądu i do zmroku błąkał się bez świadomości po wąskich uliczkach Haarlemu, złorzecząc Bogu i ludziom.

Z nadejściem nocy przyszły olśnienie i ulga. Zrozumiał, co musi uczynić. Zakradł się do dzielnicy portowych ruder i czekał. Amy wegetowała w miejscu, które prawomyślni mieszkańcy Haarlemu zwykli omijać szerokim łukiem. Nie miała nic, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość dla zdrowych marynarzy, otwarte rany na skórze były dla nich przestrogą. Gdy głodna próbowała żebrać, miejscowi żebracy stłukli ją dotkliwie, aż myślała, że wyzionie ducha. Chciała tego. Wola życia jest jednak potężną siłą, więc choć obolała, jak co dnia poszła do pobliskiej świątyni po miskę darmowej strawy. Miejscowy pastor był człowiekiem wielkiego serca i biadał nad losem niewiasty, choć takich jak ona przychodziło więcej i nie był w stanie pomóc wszystkim. Nie ustawał jednak w staraniach, a Amy dziękowała Panu, że postawił tego dobrego człowieka na jej drodze. Że pokazał, iż są w Świętym Kościele i prawdziwi pasterze. Postanowiła, że gdy już nabierze sił i pokona chorobę, odwdzięczy się mu ciężką pracą w obejściu. Znajdzie sposób, by odpłacić za dobro. Proponowała wcześniej

FRAGMENT POWIEŚCI

swoje ciało, jak ją nauczył tłusty ksiądz w Amsterdamie. Wielebny jednak wściekł się i omal nie przepędził precz, ale potem przytulił i oboje długo płakali.

– Dziecko – szeptał, łkając – kim bym był, gdybym dokładał ciężarów do twojego i tak ciężkiego życia? Nie wszyscy ludzie wiary są godni, by prowadzić owieczki ku oświeceniu, ale jest nas wystarczająco dużo, by nieść przez wieki pochodnię czystego Słowa Bożego. Pomódlmy się i wiedz jedno, Pan cię kocha.

Niemal nie pamiętała już, kiedy wcześniej czuła się tak dobrze.

I do niej uśmiechnęło się proste szczęście, jeden z angielskich najemników ulitował się bowiem tego ranka nad rodaczką i oddał jej własną, na wpół opróżnioną butelkę z ginem. Wypiła wieczorem, by zagłuszyć głód, a po ciele rozpłynęło się błogie, kojące ciepło. Pomyślała nawet, iż być może odkupiła już swoje grzechy i w łasce Pana odnajdzie spokój. Nie śmiała marzyć o dzieciach i bijącym niezbyt często mężu. Chociaż może i to kiedyś będzie jej dane? Świat zawirował, odpłynął, a w następnej chwili Amy siedziała nad miską kaszy w rodzinnym jednoizbowym domu. Za oknem, jak okiem sięgnąć, ścieliły się zielone wiosną pastwiska przypominające puchową, lekko pofałdowaną pierzynę, która okrywała kości ziemi przed wodą i słońcem. Woń lekko butwiejących desek, potu i sąsiadującego chlewa były zapachami dzieciństwa. Obok ojciec o spracowanych w polu rękach podtykał jej część swojej porcji i jak zwykle uśmiechał się pod wąsem. Tak bardzo tęskniła za tym uśmiechem. Kochał ją najmocniej ze wszystkich, szczególnie gdy matuś pomarła w połogu. Była jego iskierką. Często tak nazywał swoją córkę, okrywając dziewczę do snu. Dla niej znosił codzienne trudy, dla niej gotów był oddać choćby i życie. Jadła więc łapczywie swoją i jego okraszoną słoniną kaszę jakby od wielu dni...

Jeronim Kornelisz wbił nóż w brzuch śpiącej w barłogu z brudnych szmat i słomy Amy. Zakrył jej usta pożółkłą dłonią, a gdy ostrze zagłębiało się w ciało dziewczyny, poczuł coś, czego nie doświadczał od dawna: nabrzmiewającą męskość.

FRAGMENT POWIEŚCI

Nie miała sił, by mu się wyrwać, i słabła z upływu krwi, ale tak jak chciał, wolno. Cierpiała, a on sycił się tym bólem niczym spragniony źródlaną wodą. Spełnienie przyszło nagle i było niemal bolesne. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiego uniesienia jak wtedy, gdy błyszczące przerażeniem oczy gasły, zapadając się w sobie. Był władcą życia i śmierci niczym sam Bóg.

Kolejne długie minuty spędził na bezgłośnej modlitwie, błagając Pana Stworzenia o wybaczenie za przyjemność, jaką odnalazł w tym okrutnym akcie. I jak mu się zdawało, usłyszał odpowiedź. Głos w głowie powiedział: „To Ja wybieram ludzi mających zostać zbawionymi i żadne ziemskie uczynki i wiara nie są w stanie wpłynąć na Boskie werdykty! Ten akt łaski jest Moim, nie ludzkim dziełem!".

Wrócił do domu niemal radosny. Stare, bolesne strupy zostawił nad rzeką Spaarne, znowu czuł, że żyje.

Lieke znalazła inny sposób na swoje cierpienie. W pobliskiej świątyni spędzała całe dnie, oddając się wielogodzinnym modłom. Życie niemal wróciło do normy, jeśli nie liczyć podłego, przygotowywanego między kolejnymi wyjściami żarcia. Ale Jeronim Kornelisz nie przywiązywał wagi do tego, co je już nie. Gdy czuł to znajome ciśnienie, wymykał się nocą skryty pod czarną peleryną, a rankiem znajdowano w jakimś zaułku kolejną martwą żebraczkę. To były brudne czasy wojny, w których śmierć kogoś z gminu stanowiła wybawienie dla władz przeludnionych, pełnych uciekinierów miast.

FRAGMENT POWIEŚCI

Niestety interesy tak podupadły, że często brakowało na spłatę rat dla lichwiarza. Dotrzymywał jednak danego żonie słowa i codziennie chodził na msze. Ta dzisiejsza była wyjątkowa, jakby zanurzył się w dawnej wodzie i przeniósł w czasie. Znowu był w rodzinnej osadzie i to nie miejscowy pastor, ale ojciec przemawiał z ambony kościoła Bakenesserkerk.

Przed wielebnym Pieterem leżała wysłużona Biblia, której, gdy mówił, dotykał, jakby dzięki temu zachowywał mistyczną więź z Bogiem, a w dole ciągnęły się szeregi skromnie, ale czysto odzianych wiernych, przygotowanych, by w skupieniu wysłuchać słów swego pasterza.

– Kościół, założony w Jerozolimie w dzień Pięćdziesiątnicy w trzydziestym roku po Chrystusie, przez pokolenia ku Boskiej chwale rozsławiał się po całym świecie i za to cześć i wieczna chwała dzielnym misjonarzom! – Głos miał na tyle dźwięczny, iż słychać go było w każdym zakątku świątyni. – Z czasem jednak pojawiło się zepsucie i oto prosta wiara i czyste życie nowotestamentowego Kościoła przerodziły się w błądzącego molocha o żałośnie upadającej moralności. Wszyscy oświeceni zadajemy sobie pytanie: dlaczego? I jest na to tylko jedna odpowiedź: grzech nas oddzielił od Pana Stworzenia, bowiem jesteśmy ułomni. Nie dla ludzi byłoby królestwo niebieskie, gdyby nie miłosierdzie i poświęcenie Syna Bożego Jezusa Chrystusa!

Ciche szmery potakiwań umilkły, gdy pastor podniósł dłoń.

– W hiszpańskim i francuskim Kościele wiele z cennego dziedzictwa wiary zostało zbrukane, przesiane przez ludzkie słabości i przestał on być Kościołem Chrystusa. – Duchowny zrobił dłuższą przerwę i z ciężkim westchnieniem kontynuował: – Wymienię teraz te odstępstwa a wy, moje dzieci, rozejrzyjcie się wokoło i zajrzyjcie też we własne serca, by ujrzeć, czy nie błądzicie. Nigdy bowiem nie jest zbyt późno, by wkroczyć na właściwą drogę. Syn Boży założył Kościół składający się wyłącznie z wierzących, którzy świadomie zaufali Panu. Świadomie oddali Mu swe dusze i ciała, wierząc, iż zostaną im przebaczone grzechy, że dostąpią łaski miłosierdzia. To było spoiwo tych społeczności. W ciągu następnych wieków wolą ludzi Kościoła, a nie Boską, zaczęto włączać do wspólnoty nieświadome niemowlęta. Ba, jedną decyzją władcy cały kraj stawał się chrześcijański! Gdzie tu pokuta i nawrócenie? Gdzie przeżycie zbawienia? Czyż nie mamy do czynienia jedynie z pustą skorupą wypełnioną miast prawdziwą wiarą wyrachowaniem i strachem? My, idący śladami Marcina Lutra, dostrzegamy ten fałsz i zakłamanie! A sam Kościół, czy nie zmienił się przez te wieki? Czy nie rozrósł się, obdzielając władzą ubranych w pychę książąt Kościoła? Czyniąc z wiernych jedynie poddanych, a nie członków wspólnoty?!

W odpowiedzi pastor usłyszał wiele potakujących głosów i sam Kornelisz złapał się na tym, iż z zapałem kiwa głową.

FRAGMENT POWIEŚCI

– Nie tak powinien działać, nie tak zapisano w Nowym Testamencie! – Głos duchownego, potężniejący z każdym słowem, zamarł na chwilę. – Kolejnym działaniem Kościoła, które wypacza prawdziwą wiarę, jest głoszenie przez księży, iż wierni mogą dostąpić autentycznego kontaktu z Bogiem jedynie poprzez kapłanów. Jedynie poprzez siedem sakramentów, zwanych przez nich świętymi. Czy to zostało zapisane w Ewangelii? Czy Nowy Testament nakazuje wiernym uległość wobec przepisów wymyślonych przez człowieka?! Bracia i siostry, nie potrzebujecie pośredników, by trwać w wierze i doświadczać Boskich łask, nie pośrednika, który jest takim samym błądzącym człowiekiem jak każdy z nas!

Audytorium odpowiedziało wzburzonymi okrzykami, ale po chwili wróciło opamiętanie właściwe dla miejsca modłów i zadumy.

– A samo zbawienie? Czy ten akt wielkiej łaski i dar nieskończonej miłości nie został wypaczony w Kościele? Przecież stoi w Księdze, iż dostąpią go ci, którzy uwierzą w Syna Bożego Jezusa Chrystusa, a nie ludzie wypełniający w strachu polecenia Kościoła! Nie oni! Apostoł Paweł pisał w Liście do Rzymian, iż człowiek dostąpi zbawienia dzięki ofierze Chrystusa na krzyżu. Tak zostało napisane w Biblii! A jak tę jedyną prawdę obrócili na swoją modłę książęta Kościoła? Wmówili wiernym, iż dostąpią zbawienia, przestrzegając przepisów, które sami wymyślili! Że dostąpią zbawienia, płacąc za nie złotem na odpustach! Że dostąpią zbawienia dzięki dobrym uczynkom, co samo w sobie jest pyszne i jako żywo przypomina wierzenia pogan! Że w końcu zostaną zbawieni, umartwiając ciało i duszę w klasztorach, rezygnując z tak miłego Bogu normalnego życia, małżeństwa i przywileju rodziny! Niech Pan nasz ulituje się nad ich duszami, bo błądzą!

Pastor otworzył oczy i Korneliszowi zdało się, iż patrzy właśnie na niego.

– W końcu, moje dzieci, prawdziwy chrześcijanin nie powinien pożądać bogactwa. Powiem więcej, te pierwsze społeczności wyrosły nie w pałacach, a w ubóstwie. Jak zostało spisane w Ewangelii według świętego Mateusza: „Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igiel-

FRAGMENT POWIEŚCI

ne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego. Gdy uczniowie to usłyszeli, przerazili się bardzo i pytali: Któż więc może się zbawić? Jezus spojrzał na nich i rzekł: U ludzi to niemożliwe, lecz u Boga wszystko jest możliwe"[3].

Duchowny uśmiechnął się ciepło do zgromadzonych owieczek i rzekł:

– Pamiętajcie więc, by szukać potrzebujących i nie szczędzić na dobroczynność, bo to miłe Panu Stworzenia, ale to do Niego należy decyzja, czy przyjmie waszą duszę do królestwa niebieskiego. Idźcie z Bogiem.

Natchnieni tym kazaniem ludzie powoli, w zadumie opuszczali kościół. Czuć było niemalże, iż przynajmniej na pewien czas stali się lepsi. W udręczonym aptekarzu też jakby coś pękło. Zebrał się na odwagę i podszedł do schodzącego z ambony wielebnego Pietera.

– Niech będzie pochwalony.

– Na wieki wieków, synu.

– Wie wielebny, jakie nieszczęście nas spotkało? To znaczy naszą rodzinę.

– Zmarło wam dziecko, synu. Twoja dobra małżonka wypłakała serce, opowiadając mi o tym. Dźwigam ten ciężar razem z wami.

– Tak, wielebny, córeczka.

– Jest już w raju bezpieczna i szczęśliwa, o ile tak chciał Pan. Wyczekuje tam na was. Twoja połowica... – Duchowny przerwał i spojrzał z większą uwagą na Jeronima. – Rozmawialiśmy o tym i wiem, że ona znajduje ukojenie w modlitwie. Czytaj Biblię, a i ty znajdziesz w niej pocieszenie.

– Nie szukam już ukojenia, pogodziłem się z tą śmiercią, kaznodziejo. Ale do mojej apteki przestali przychodzić klienci, a ja mam teraz długi. Gdyby wielebny wspomniał o tym po kazaniu, to znaczy, że jeden z członków naszej wspólnoty jest w trudnej sytuacji i po bożemu będzie nabywać kordiały i dekokty...

FRAGMENT POWIEŚCI

[3] Mt, 19, 24-26.

– Synu. – Kaznodzieja przerwał mu gwałtownym gestem. – Treść Biblii jest tym, o czym winniśmy rozmawiać w kościele, nie sprawy przyziemne. Słowo Boże jest bowiem środkiem, przez który Bóg nakłania nas do nowego życia oraz duchowo pokrzepia wierzących.

– Ale to ja niedługo stracę dach nad głową i miejsce pracy! – rzekł podniesionym głosem, co zwróciło uwagę wychodzących ze świątyni maruderów. – A razem ze mną na bruk pójdzie moja żona – dodał już ciszej.

– Wola Boża, synu. Gdy będziesz na ulicy, przyjdź do kościoła. Raz dziennie rozdajemy nędzarzom strawę. I porozmawiaj z małżonką.

– Lieke? A co ona ma do tego?

– Idź już synu, idź.

Wyszedł z kościoła zły na siebie za chwilową słabość. Że też dał się tak łatwo podejść i uwierzył w tę całą dobroczynność. Tu, bez względu na religię, strumień srebra płynął tylko w jedną stronę.

Swoją kobietę wyjątkowo zastał w mieszkaniu. Krzątała się przy kuchni jak za dawnych, lepszych czasów.

– Rozmawiałem z kaznodzieją, podobno masz mi coś do powiedzenia, Lieke? – zaczął bez ogródek.

– Przygotuję strawę, najpierw zjedzmy.

– Ale...

– Potem, mój panie mężu – usłyszał w jej głosie żelazne nuty jak wtedy, u wezgłowia umierającego dziecka.

Trafił się klient na maść na odciski, więc Kornelisz już bez słowa ruszył do swojego kantorka.

Gdy po posiłku Lieke zabrała się za porządki, nie wytrzymał.

– Mówże wreszcie, w czym rzecz!

Wytarła ręce w fartuch i przysiadła skromnie obok niego. Dawne ślady pobicia zniknęły niemal zupełnie i znowu miał przy sobie swoją ładną, choć przecież nie piękną żonę. Nie szukał jednak u kobiet piękna, a nawet więcej: unikał go, wiążąc wielką urodę z jeszcze większym lenistwem i podstępnością.

– Bóg mnie wezwał, mężu – wyszeptała, nie patrząc mu w oczy.

FRAGMENT POWIEŚCI

– Jak to: cię wezwał? Choraś?

– Poczułam nieodpartą łaskę, powołanie i sam święty Bawo mnie przyzywa. – W jej głosie po raz pierwszy od dawna pojawiły się radosne nuty. – Pójdę na służbę do wielebnego Pietera. Gosposią mu będę.

– No... a... ja? – Patrzył na żonę, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu.

– Każdy z nas ma swoją drogę, Jeronimie. To dlatego musiała odejść do Pana nasza córeczka – dodała ciszej.

Zerwał się z uniesioną do uderzenia ręką. Zamarł, a w końcu rozwarł zaciśnięte aż do bólu palce.

– Jej nie tykaj, Lieke, jej nie tykaj – rzucił i chwytając po drodze kapelusz, wybiegł z sutereny. Myśli tak kotłowały mu się w głowie, że nie wiedział, jak znalazł się na centralnym placu. Po prostu tam był. Stał pośrodku zapatrzony w białą, jaśniejącą w słońcu niczym wskazówka boskiego zegara iglicę Bakenesserkerk. A w środku był kaznodzieja Pieter z przymilnym uśmiechem i twardym sercem...

Nie zauważył nadjeżdżającej dwukółki. Krzyk woźnicy i rżenie konia zlały się niemal w jedno, potem stracił przytomność.

FRAGMENT POWIEŚCI

***

Otworzył oczy w ciemnej, rozświetlanej jedynie przez dopalającą się świecę izbie. Z dołu dobiegały głosy wesołej kompanii, z góry zaś drażnił nos mocny zapach nieokreślonych chemikaliów. Jeronim Kornelisz wsparł się na łokciu, gdy nagle poczuł mdłości. Na szczęście ktoś był przewidujący i zostawił przy łożu niemały nocnik, który teraz pokazał swoją przydatność. Po kilku próbach mężczyzna usiadł na miękkim posłaniu. Nie licząc opatrunku na głowie, był nagi i o ile mógł stwierdzić, cały.

Czyste odzienie leżało ułożone w stertę na rzeźbionym stoliku, na którym służba stawiała panu domostwa lub jego gościom śniadania. Gospodarz gustował w pięknych i zapewne niezwykle kosztownych meblach, haftach i złoceniach, co dało się stwierdzić nawet przy tak lichym świetle. Mężczyzna wdział ubrania powoli, nie wykonując

gwałtownych ruchów, by nie powróciły nudności. Szczęściem obyło się bez niespodzianek. Więcej, z każdą chwilą czuł, że wracają siły. Przytrzymując się domowych sprzętów, a potem solidnych poręczy, ruszył w stronę, z której dobiegały głosy.

– Tuś mi, bratku. – Mąż w sile wieku, ze starannie wystrzyżoną i wypielęgnowaną brodą, wstał od stołu. – Napędziłeś nam stracha. – Pomógł Korneliszowi pokonać ostatnie stopnie i posadził go na wygodnym krześle.

– Gdzie... gdzie ja jestem? – W głosie rannego słychać było echa niedawnej słabości.

– Jak to: gdzie, bratku. – Mężczyzna zaśmiał się jowialnie i zawtórowało mu dwóch innych. – W domu jednego z najznamienitszych kupców w Haarlemie: Christiaena Coppensa.

– Coppe... Pan jesteś gospodarz?

– Gdzieżby tam, korzystam tylko z gościnności mego przyjaciela. On sam właśnie do ciebie przepija.

Jeronim zobaczył niskiego i łysego jegomościa podnoszącego do ust kielich z rżniętego szkła. Piękna falista peruka leżała nieopodal na blacie, samotna i porzucona niby wyspa na środku oceanu. Widząc spojrzenie Jeronima, pan domu zachichotał. Mając już mocno w czubie, rzekł:

– Na Boga, dałbym głowę, iż położyłem ją... o tu. – Dźgnął nożykiem stół. – A ona odpełzła niby jakie żywe. – Z udawaną powagą pokręcił głową.

– Boś, Christiaen, zwykł pudrować ją, miast wyczesywać menażerię, którąś sobie tam wyhodował – usłyszał wesoły docinek jednego z kompanów.

– A tak, mój drogi, i dlatego tyle piję. Idące od głowy wapory usypiają na jakiś czas te małe bestyjki i mam spokój. – Gruchnęli beztroskim śmiechem.

– Ale, ale, dokończmy prezentację. – Mężczyzna, który pomógł Jeronimowi pokonać ostatnie stopnie schodów, zamachał żywo rękoma. – Ten mąż z ciętym dowcipem to wielkiej sławy pisarz i uczony

FRAGMENT POWIEŚCI

Petrus Scriverius. – Pięknobrody dopełniał konwenansów. – A mnie zwą Torrentius. Mistrz Torrentius – powtórzył, widząc brak zrozumienia na twarzy rannego.

– A co ja tu... jak się znalazłem w tym domostwie? Mogę wina? – Nie czekając na zgodę, ranny sięgnął po stojący najbliżej kielich i wychylił do dna. Gorycz wymiocin zniknęła zastąpiona smakiem sfermentowanych winogron. – Wybaczcie, czcigodni panowie, ale jakbym o suchej gębie dwa dni wędrował.

– Ależ proszę sobie nie żałować. – Gospodarz sięgnął po butelkę i dolał gościowi napitku. – Chyba że pan wolisz coś mocniejszego?

– Po tych perturbacjach winienem poprzestać tylko na wodzie. Ale dziękuję za propozycję.

Mężczyzna wzruszył ramionami i rzekł:

– A co do okoliczności waszego pojawienia się w moich progach, to winę ponosi nie kto inny jak Johannes van der Beeck, lub Torrentius, jak lubi, by go zwać.

– Przypadek, bratku, przypadek. – Torrentius słabo się bronił. – Wpadłeś wprost pod mojego konia, gdy, co przyznaję, nieco zajęty towarzyszącą mi panną Willemsz wracałem właśnie do domu. Jeśli chodzi o szczegóły, to owa nadobna niewiasta, klęcząc u mych stóp, robiła takie diabelskie sztuczki, iż żem o mało nie puścił lejców i nie zważając na nic, popuścił folgów targającej mną żądzy. Szczęściem bieliznę noszę luźną...

– Johannes...

– No tak, szczegóły w gronie doświadczonych mężczyzn są zbędne. Swoją drogą – zwrócił się do dwójki starszych przyjaciół – niezwykle polecam utalentowaną pannę Willemsz waszej atencji, nazwać ją bowiem wirtuozem, to jakby nic nie mówić. Wracając do wypadku, w tych właśnie okolicznościach wybiegłeś pan niczym rycerz ruszający na walkę ze straszną stworą wprost pod mojego konia. Zwierzę stanęło dęba i oberwałeś obcierkę kopytem, ale lekarz mówił, że łeb masz mocny i wydobrzejesz. Zważ, że oddałem ci własne łoże w ramach rekompensaty. – Zaśmiał się i zawtórowała mu pozostała dwójka.

FRAGMENT POWIEŚCI

– Gdybyż ono umiało mówić, do końca życia miałbym o czym pisać – wtrącił swoje Scriverius.

– I miałbyś rzesze czytelników, bratku. – Torrentius wzniósł kielich jak do toastu. – I to obu płci. – Wypili. – Ale jak rozumiem, odzyskam dziś miejsce do spania, bo nasz ranny przyjaciel czuje się całkiem dobrze?

– Kręci mi się w głowie, ale posiedzę chwilę i... pójdę sobie.

– Nie ma pośpiechu, zjedzmy razem wieczerzę. Przynajmniej tyle jeszcze mogę zrobić. Mógłbyś, Christiaen?

Gospodarz krzyknął coś w głąb domostwa i na stole zaczęły pojawiać się wyszukane potrawy. Sam łapczywie opróżnił napełnioną w połowie flaszkę, beknął i opadł na fotel z błogim uśmiechem.

Kornelisz jadł bardziej z rozsądku niż z głodu, popijając posiłek sporymi łykami czerwonego wina. Po bólu zostało jedynie delikatne pulsowanie, a trunek zrobił swoje – czuł się w tym towarzystwie wyjątkowo dobrze.

Mężczyźni ze swadą rozprawiali o miłosnych podbojach, o cenach produktów w indyjskich portach, o Świętym Oficjum, ortodoksyjnych Hiszpanach, wyższości holenderskiego pejzażowego malarstwa nad flamandzkim czy pazernych, niedbających o swoje połowice małżonkach.

FRAGMENT POWIEŚCI

– No mówże, bratku: gdzie szybowałeś myślami, gdym cię poturbował tam, na placu? – Torrentius skubnął zimnej pieczonej gęsi.

– Eee... myślałem o naszym Kościele. – Mężczyzna się zawahał, ale wypity alkohol dodał mu śmiałości. – I nieścisłościach, które w nim dostrzegam.

– Ho, ho. – Petrus Scriverius zabujał się na krześle, mało przy tym nie lądując na podłodze. – Słowa odważnego, pijanego człowieka albo głupca.

– Ani jedno, ani drugie, drogi panie. To słowa ojca, który stracił ukochane dziecko i żonę, która była niczego sobie. – Opowiedział pokrótce o swoim niedawnym dramacie. Pominął tylko koniec, jaki spotkał Amy Wood.

– Nie strasz naszego gościa, Petrus. – Torrentius pogroził palcem przyjacielowi. – Trafił w dobre towarzystwo, bo nie masz ludzi w całym Haarlemie bardziej wątpiących od naszej trójki. Mam rację, Christiaen?

Cały czerwony na gębie gospodarz, który, jak widać, nadużył wina, mruknął coś niewyraźnie.

– Bo widzisz, szanowny panie Kornelisz, całą swą młodość spędziłem na hiszpańskim dworze i gdy wróciłem w rodzinne strony, wiedziałem jedno: wiara, jaką nam serwują księża, to niewidzialne jarzmo i nic więcej. Nałożone na ludzi, by niby ten wół szli w wyznaczonym przez chłopa kierunku. Rzecz jasna chodzi o władzę oraz bogactwa i ja to nawet rozumiem, ale nie dam się wodzić za nos, ot co. Ba, nie tylko ta, ale wszystkie religie ograniczają przyjemności życia. Reformatorzy Lutra jako żywo stawiają labirynty z jednym tylko wyjściem, z tą różnicą, że zamiast zimnego hiszpańskiego kamienia do budowy ścian używają przyjaźniejszych z pozoru żywopłotów. Dla ciebie za jedno, i tak się nie przedrzesz. Czy taki był zamysł Boga, gdy nas powołał do życia? Przecież sprowadził człowieka na ziemię, by ten w czasie krótkiego ziemskiego istnienia pełnymi garściami czerpał z palety dostępnych rozkoszy. Jak inaczej rozumieć zamysł Twórcy?

Mężczyzna machnął ręką, strącając ku uciesze psów półmisek z mięsiwem. Bestie rzuciły się na jadło, walcząc ze sobą o najlepsze kęsy.

– Mamy być niczym one – rzekł, wskazując na zwierzęta – czy istoty rozumne? Jestem zdania, że każdy z nas nosi w sobie iskrę boskości, którą przyrównałbym do pąka róży. Nie wszyscy jednak, zatracając się w umartwianiu ciała, dają kwiatu zakwitnąć. Ba, takich jest mniejszość.

– Papiści twierdzą, iż to umartwianie i znój mają nam dać życie wieczne, choć mnie bliżej z zapatrywaniami do protestantów. – Słowa jakby same wyszły z ust aptekarza.

– I dobrze, mniejsze zakłamanie, choć dalej zakłamanie. – Scriverius włączył się do rozmowy. – Pan nasz stworzył wszystko, tak czy nie?

FRAGMENT POUFNY

– No, tak...

– A jeśli ludzie są różni, to też zgodnie z Jego wolą?

Kilka uderzeń serca trwała cisza.

– No?

– Tak mi się zdaje, choć jestem tylko człowiekiem i...

– Aż człowiekiem! Masz rozum! – przerwał mu nieco gniewnie pisarz. – Dobrze, to inaczej. Czy rzeźbiarz pracujący w drewnie, by stworzyć figurę konia, wrzuca kloc do młyńskich żaren i czeka na efekt?

– Pewnie, że nie.

– A kamieniarz?

– Panie, naśmiewasz się ze mnie? Niemożebne by było wystruganie kształtów zwierza, trąc w przypadkowy sposób boki owego kloca.

– To dlaczego przyjmujesz, iż Bóg, który jest wszechwiedzący, to zrobił? Że zdał się na ślepy los?

– Dajże biedakowi spokój, Scriverius. Napijmy się. – Malarz nalał przyjacielowi i gościowi nową porcję wina.

– Dokończę tylko myśl, Johannes – rzucił zapalczywie pisarz. Widać było, że ma już naprawdę mocno w czubie. – Dlaczego Bóg nie stworzył jedynie szpetnych kobiet? Dlaczego strawa ma takie wyszukane smaki? A złoto? Po cóżże ono jest na tym świecie? Czy jeśli oglądam przedstawiający nagą damę obraz mojego przyjaciela i czuję przy tym rosnącą chęć do swawolenia, to źle? Swoją drogą – rzekł i poklepał malarza po dłoni – kiedyś za to, co robisz, spalą cię na stosie. I to razem z twoimi dziełami.

– Niechby tam, ale co użyję, to moje. A to, że w twoim słusznym wieku pojawiają się sprośne myśli, to istny cud Boży i dowód mojego geniuszu.

Cała trójka, nie licząc pochrapującego gospodarza, gruchnęła śmiechem.

– A nie jest tak... – Kornelisz przypomniał sobie niedawne nauki wielebnego Pietera. – ...że szatan jest mistrzem kłamstwa i zsyła na nas te cudowne pokusy, byśmy odeszli od prawdziwej cnoty? Od tego

FRAGMENT POWIEŚCI

codziennego znoju właśnie? To zazdrosna i szalejąca z nienawiści bestia, która nie cofnie się przed niczym, by przysporzyć trosk Panu.

– Stworzona przez... – Torrentius zawiesił głos.

– No przez Boga rzecz jasna.

– A widzisz, bratku, i tu wracamy do przykładu z rzeźbiarzem. – Malarz cknął głośno. – Dzieła Wszechmocnego są doskonałe i z definicji nie wymagają poprawek. Zresztą moje również. – Przepił długim łykiem wina.

Jeronim Kornelisz próbował doszukać się w jego twarzy błysku rozbawienia, ale widział jedynie niezachwianą pewność co do wypowiadanych sądów.

– Jakbym był w hiszpańskim kościele. – Petrus Scriverius omal nie przewrócił pucharu. – Ale szanowny jegomość raczy zważyć – zmienił temat – iż wśród plebanów jedynie niewielu odejmuje sobie od gęby, zaznając głodu, by rozdawać bliźnim. Raczej namawiają do pójścia w drugą stronę. – Pokiwał głową z pijacką powagą. – Albo co najwyżej rozdają nie swoje. Choć nie zaprzeczę – uciął rodzący się protest Jeronima, który właśnie teraz pomyślał o ojcu – iż są tu, zważywszy na okoliczności, zadziwiająco liczne wyjątki.

– A Bóg, bratku... – Torrentius wrócił do przerwanych rozważań. – ...nie uczynił nas na swój obraz i podobieństwo?

– Tak stoi w Biblii. Chyba już o tym mówili...

– Skoro więc On jest doskonały, to i nasze żądze, pokusy i marzenia są takimi. To powstrzymywanie się przed ich spełnianiem rodzi wściekłość, zgorzkniałość, poczucie niespełnienia i straty. A róże, które są w nas, na zawsze pozostają pąkami. Bo widzisz, kiedy dobrniemy do końca na tym ziemskim padole, nim zemrzemy, patrzymy wstecz i co widzimy? Kobiety, których nie mieliśmy odwagi posiąść? Drani, którym nie daliśmy w pysk, a na to zasługiwali? Szanse, które umknęły, bo baliśmy się wyimaginowanej kary boskiej? A może głupca, który dał się zapędzić w róg większym cwaniakom, takim, którzy nad jego głową używali życia ile wlezie?

FRAGMENT POWIEŚCI

– Jakie znowu róże? Życie to nie ogród, tylko znój. Dopiero po śmierci niektórzy...

– Ten znowu swoje. Widzę, żeś pan jeszcze skostniały i zbyt trzeźwy. Wypijmy. – Scriverius podniósł puchar i przez moment słychać było tylko głośne przełykanie. – Słyszał jegomość, jak mniemam, o pięciu prawach głoszonych przez naśladowców kaznodziei Jana Kalwina?

– W rzeczy samej. I skłaniam się, jak mówiłem, właśnie ku protestantom, choć prawdę mówiąc, mierzi mnie ich świętoszkowatość.

– No, to stoi w nich... – Pisarz każde słowo akcentował, uderzając otwartą dłonią w blat stołu. – ...że wola Boża nie może być podważana przez czyny i myśli człowiecze, tak czy nie?!

– No tak.

– A ci, którzy mają być zbawieni, dostąpią nieba bez względu na to, co czynili w swoim życiu!

– Nie powinniśmy jednak postępować bogobojnie z nadzieją, że Pan to nas właśnie wybierze do swoich zastępów?

– A po jaką cholerę?! – Głos Torrentiusa był niczym grzmot i wyrwał z pijackiego snu gospodarza, który, nim znowu odpłynął duchem, zdążył wybełkotać:

– Fypppijmy za so.

– No, żeby nas wybrał.

– Toż ci jest prawdziwa herezja, bratku. A kim jest człowiek, by mniemał, że swoimi uczynkami może zmienić Boski plan? No? Bezwarunkowe wybranie zwalnia nas maluczkich z wszelkiej odpowiedzialności.

– Jakże to, więc waszym zdaniem możemy robić, co nam imaginacja podpowie, i nie poniesiemy w niebiesiech żadnej kary?

– O ile zdołasz, bratku, zrzucić pęta narzucone przez Kościoły i królów i ujść przy tym z życiem, jak najbardziej. Pamiętaj tylko... – Torrentius czknął. – ...że oni pospołu strzegą swoich, co ja tam chciałem, aha, swoich wypudrowanych kutasów przed takimi jak ty i ja. Na pierwszy sygnał, że im zagrażamy, fiuuu, pójdziemy z dymem niczym sam spalony na moście Świętego Anioła Cornelio di Olanda. Ot co.

FRAGMENT POWIEŚCI

– Albo bolończyk Pellegrino Righetti – dorzucił zaraz Petrus Scriverius. – Malarz jak ty, Johannes.

Mężczyzna, usłyszawszy o marnym losie, było nie było, kolegi artysty, pomarkotniał.

– Dość, łeb mi pęka od natłoku myśli.

– I zakąśmy – poparł go pisarz. – My, ludzie pióra, cenimy dobrą strawę, tym bardziej, iż rzadko chodzimy z pełnymi żołądkami. Ba, jesteśmy niby człowiek stojący na mrozie, który taki los wybrał, by podziwiać piękno płatków śniegu. Tak musi być i jeśli znęceni ciepłem pójdziemy na salony, zmienią się one w jakże pospolitą wodę.

– Chcesz wmówić temu biedakowi, że artyści poszczą nie z biedy, ale taką wybrali drogę? – Torrentius zarżał niby koń. – Toż lud w swojej masie bardziej ceni żarcie, ciepło i swawolenie niźli prace naszych rąk i umysłów.

– Nie, próbuję przekonać samego siebie.

Tym razem znowu śmiali się wszyscy, nie licząc rzecz jasna gospodarza.

Resztę wieczoru spędzili na mniej skomplikowanych dysputach ograniczających się w głównej mierze do płci pięknej. Zdawało się, iż malarz zna wszystkie panny i co młodsze damy z towarzystwa, i to dogłębniej niźli tylko z widzenia. Pod koniec wieczerzy i jego zmogło dobre wino, więc ułożył się do snu wśród resztek potraw. Pisarzowi nie zamykały się usta, ale konia z rzędem temu, kto by go teraz zrozumiał. Cała sztuka jego profesji polega bowiem na tym, by zapisywać to, co się imaginuje pod czaszką w pijanym widzie, a potem na trzeźwo próbować zrozumieć te bazgroły.

Gdy późną nocą Jeronim Kornelisz z trudem dotarł do mieszkania, Lieke już nie było. Zabrała skromne suknie, te wystawniejsze pozostawiając na miejscu. Wściekłość przywróciła trochę jasności myślom i sprawności członkom. Wyrzucił wszystkie stroje na ulicę, choć potem żałował – gdy sprzedał ostatnie meble, i za nie dostałby trochę srebra.

Wielokrotnie odwiedzał jeszcze domostwo Christiaena Coppensa i spędzał długie godziny na żarliwych, religijnych i obyczajowych

FRAGMENT POWIEŚCI

dysputach. Po prawdzie też zawsze wychodził stamtąd z pełnym żołądkiem, dającą ukojenie mgłą w głowie, a wyrzuty sumienia po zabójstwach zdawały się znikać. Zresztą od pewnego czasu nie czuł tego rozsadzającego głowę parcia i dzięki Bogu nie chciał już mordować. Przemyśliwał nawet nad ponownym ożenkiem, ale klątwa znowu upomniała się o niego.

W mieście gruchnęła wieść, iż znanego malarza Johannesa Torrentiusa aresztowano za niemoralne prowadzenie i szerzenie herezji. Kornelisz poczuł pod stopami płomienie świętego ognia. Choć między Republiką a Hiszpanią trwała od wielu lat wojna, dłonie Świętej Inkwizycji były wciąż długie, a pazury ostre i brudne od krwi i popiołów z ciał tysięcy ofiar. Musiał uciekać, bo kto wie, dokąd zaprowadzą śledczych zeznania malarza. Szczęściem Holenderska Kompania Wschodnioindyjska poszukiwała pomocnika chirurga, więc nie zwlekając, zamustrował na ruszający w swój dziewiczy rejs do Indii statek Batavia. Po prawdzie też uciekał przed coraz bardziej natarczywymi wierzycielami, ale i nie miał nic do stracenia. W Haarlemie nie został nikt, kto za nim zatęskni, a w nowym świecie czekały nowe możliwości. Malarz miał rację, z życia należy wycisnąć wszystkie soki, zagarnąć tyle uciech i bogactw, na ile siły i koncept pozwolą. Taka jest wola Boża.

FRAGMENT POWIEŚCI

Dwudziestego siódmego października roku pańskiego 1628 trzymasztowa jednostka o wyporności tysiąca dwustu ton, z trzystu czterdziestoma osobami na pokładzie, wypłynęła z leżącego w Północnych Niderlandach portu Texel. Wśród członków załogi znajdował się młodszy kupiec VOC, pomocnik chirurga z gażą wynoszącą niebagatelnych sześćdziesiąt guldenów miesięcznie, Jeronim Kornelisz. Dla niego to miała być podróż w jedną stronę.

Emmerich

Przy nabrzeżach portowych miasta Emmerich jeszcze nigdy nie było tak tłoczno. Statki, które pozostawiły tu swój złowrogi fracht,

odpływały czym prędzej, by zrobić przy kejach miejsce kolejnym jednostkom. Wyładunek trwał całą lipcową noc i rankiem roku pańskiego 1627 mieszkańcy patrzyli z przerażeniem na rozłożony pod murami las namiotów. Ale ten widok nie oddawał prawdziwej ciżby wojaków. Przy dobrej pogodzie bowiem wielu nowo przybyłych spało ze zrolowanymi kurtami pod głową, za dach mając jedynie gwieździste niebo. Jakby tego było mało, obstawiono wszystkie wejścia i wyjścia z miasta.

Nagle przy znajdującej się na południu Bramie Bydlęcej dało się słyszeć wzburzone okrzyki. Stojący na wozie dostatnio ubrany jegomość wymachiwał rzemiennym batem i z chwili na chwilę coraz bardziej czerwieniał na gębie. Znajdujący się nieopodal oddział żołnierzy sprawiał wrażenie, jakby nic sobie nie robił z tych wrzasków, co jeszcze bardziej rozsierdzało krzykacza. Zresztą od założenia blokady co rusz ktoś na nich darł japę, jakby to prości żołnierze wydawali polecenia w tej wojnie.

– Tłumaczyłem ci już, panie, że z rozkazu księcia Hendrika wszystko, co wjeżdża do miasta, ma być przeszukane, a wyjeżdżające zawrócone. Głuchyś?! – Dowodzący drużyną porucznik zdjął czarny kapelusz i otarł rękawem spocone czoło. To był wyjątkowo ciepły letni dzień i zaczynała go brać jasna cholera od słuchania utyskiwań pyskatych mieszczuchów. Z drugiej strony był zawodowym wojakiem, a ci ludzie to przecież nie wrogowie. Odetchnął głęboko i odzyskał spokój. – Kiedy stąd odejdziemy, a zapewniam, iż niebawem, będziesz mógł sobie wjeżdżać i wyjeżdżać, ile dusza zapragnie.

– Gówno mnie obchodzą twoje rozkazy, kpie. Wiesz, z kim masz do czynienia?! Jestem Johan Alexander, starszy cechu kupców w tym mieście! Żądam wolnej drogi!

– Tak będzie, panie, ale najpierw sprawdzimy, co masz na wozie.

– Po moim trupie! Bodajby was piekło pochłonęło! To jest mój dom! To moje miasto!

– Więc proszę złożyć po wszystkim skargę na porucznika van Halena z czwartego regimentu... – Głos oficera był monotonny, wyprany z emocji.

FRAGMENT POWIEŚCI

Tego było, jak widać, zbyt wiele dla rozsierdzonego kupca. Niewiele myśląc, a raczej nie myśląc w ogóle, machnął batem i węzłowaty rzemień ślizgnął się po policzku oficera, zostawiając za sobą krwawą pręgę.

W tym momencie dwóch żołnierzy wskoczyło na wóz, ale w jego właściciela jakby wstąpił demon. Wyciągnął zza pasa spory nóż i ani myślał oddawać pola. Walka była krótka. Kupiec z własnym ostrzem w bebechach spadł z kozła wprost pod końskie kopyta. Jeden ze spłoszonych wałachów stanął dęba, a wszyscy wokoło usłyszeli obrzydliwy mokry trzask, gdy kopyta strzaskały czaszkę nieszczęśnika.

Wśród gapiów zapanowała cisza, którą przerwał mocny głos oficera.

– Karel, Piet, dokończcie przeszukiwanie tego cholernego wozu, trupa na furę i odstawić pod miejskie mury, żeby nie blokował wjazdu! Ma chyba jakąś rodzinę, to się nim później zajmą!

Po kilku chwilach jedynie czerwona plama na zapylonej drodze wskazywała, iż zamordowano w tym miejscu człowieka. A w zasadzie to było niemal samobójstwo. Oczekujący na wjazd do miasta rolnicy ruszyli z miejsca i już bez oporów poddawali się kontroli.

Zbliżało się południe i żołnierze z utęsknieniem oczekiwali na zmianę, gdy rozległ się tętent kopyt, a z miasta wyjechał powóz z damą i czterema ubranymi w szykowną liberię sługami. Ten siedzący obok woźnicy wył dziko, poganiając rozpędzające się konie. Ani myśleli się zatrzymać, gdy jeden z żołnierzy porucznika van Halena stanął im na drodze. Nieszczęśnik niemal w ostatniej chwili uskoczył, a zaraz potem rozległa się palba z muszkietów.

Kilka kul trafiło w woźnicę, zrzucając go z kozła. Był martwy, nim upadł na ziemię. Siedzący obok pomagier próbował przejąć lejce, ale dwa pociski w tułów skutecznie zniechęciły go do tego pomysłu i powóz stanął.

– Zakończyć ostrzał! Pilnować bramy! – Porucznik podszedł do niespokojnie drobiących w miejscu koni i pogłaskał je uspokajająco po łbach. Mówił do nich coś cicho tak długo, aż zamarły, choć da-

FRAGMENT POWIEŚCI

lej nerwowo strzygły uszami. – Co to było, moja pani? – zwrócił się do białej niby śnieg pasażerki. – Próbowała pani, hmm, ucieczki? – Podszedł bliżej i język niemal odmówił mu posłuszeństwa. Dama był piękna. Siedząc wewnątrz powozu w koronkowej sukni, przypominała porcelanową lalę, ale z tych najdroższych, które można zobaczyć jedynie na książęcych dworach.

– Cóż, szanowny żołnierzu – przemówiła, a jej cudny głos dorównywał słodyczą urodzie – prawdę mówiąc, uciekałam z miasta po... jak by tu rzec... niefortunnym zbiegu okoliczności.

– Gdybym powiedział, że było to nieroztropne posunięcie, to jakbym nic nie mówił, droga pani. Zważywszy na okoliczności mogła pani przypłacić ten rajd życiem.

– Teraz to widzę, panie oficerze, wcześniej wydawało mi się ryzykiem do przyjęcia zważywszy... Czy oni nie żyją? – Wskazała na dwa nieruchome ciała w czerwonych liberiach.

– André, co z nimi? – Oficer spojrzał w stronę jednego ze swoich ludzi, a ten przecząco pokręcił głową.

– Niestety, droga pani. – Van Halen znowu odwrócił się w stronę kobiety.

– A mogłabym mimo wszystko jechać dalej? Sam pan, panie oficerze, rozumie...

– Nie – padła krótka odpowiedź. – I to nawet nie dlatego, że próbowała pani rozjechać jednego z moich ludzi, ale takie rozkazy.

– Ściągnijmy tę wydelikaconą damusię i pokażmy jej, na czym polega wojenny los kobiet! – krzyknął któryś z wojaków, a wielu mu przytaknęło.

– Zaraz kończymy służbę. Taka gąska umili nam pobyt i zapewni wesoły wieczór! – dodał ze śmiechem ktoś inny. – Należy nam się, nie?

Gdy porucznik odwrócił się w ich stronę, zamilkli.

– Szczęście pani polega na tym, iż z rozkazu samego księcia mamy lekko obchodzić się z mieszkańcami Emmerich. Widzę jeszcze dwóch służących. – Wskazał głową na stojących na podstopniach z tyłu powozu ludzi. – Proszę zabrać ciała. Gdyby nie płeć, byłaby pani za-

FRAGMENT POWIEŚCI

pewne między nimi. Wracać do miasta. Obawiamy się hiszpańskich szpiegów i nikt nie może opuścić miejskich murów.

Niewiasta chwilę się wahała, ale rzut oka na rozochoconych żołdaków wystarczył, by wydała cichy rozkaz. Stękając, wrzucili zwłoki niedawnych towarzyszy do powozu i trzeba przyznać damie opanowanie, gdyż nawet nie drgnęła, gdy krew woźnicy splamiła jej nieskazitelnie białą suknię.

– Hrabina van der Grotenhius. – Podała oficerowi dłoń o skórze tak cienkiej i delikatnej, iż niemal przeźroczystej. – Znajdziesz mnie pan w pokojach gościnnych karczmy Pod Toporami. Jako że nie pozwoliłeś mi, oficerze, bezpiecznie opuścić miasta, jesteś mi winien opiekę. To sprawa honoru, a tego, jak mniemam, ci nie zbywa.

Po kilku chwilach powóz zniknął za Bydlęcą Bramą, wywołując wyraźnie niezadowolenie żołnierzy, ale rozkaz to rozkaz. Szczęściem od strony obozu nadeszli zmiennicy i drużyna porucznika van Halena została zluzowana.

Po prawdzie takich incydentów było niewiele. Żołdactwo mocno trzymane w ryzach przez swoich dowódców oszczędziło ludność cywilną miasta Emmerich. Nie licząc owych nieszczęśliwych zajść, które przecież mogą się przydarzyć i w najbardziej karnym wojsku, wpuszczano do miasta wszystkich, ale to była droga w jedną stronę. Nawet na Renie okręty z banderami Republiki Siedmiu Zjednoczonych Prowincji wstrzymały ruch statków, biorąc do tymczasowego aresztu te, które znalazły się w zasięgu dział. Toczona od lat przez niderlandzkich protestantów wojna wyzwoleńcza ze znienawidzoną ultrakatolicką Hiszpanią zawitała w końcu i tu.

Szczęściem to nie samo miasto było celem najazdu. Dowodzącym wielką armią zależało na utrzymaniu ruchów wojsk w tajemnicy, stąd takie nadzwyczajne środki ostrożności. Nie było w tym nic dziwnego. Hiszpańscy szpiedzy lub papiści z Południa mogli być i byli wszędzie. Każdy: od prostego chłopa, przez uśmiechającego się kupca, po niewiastę z miejskiego lupanaru mógł być okiem i uchem Filipa IV.

FRAGMENT POWIEŚCI

***

Niespełna pół godziny po zakończeniu służby porucznik van Halen otworzył solidne drewniane drzwi karczmy Pod Toporami i z kapeluszem pod pachą wszedł do pełnego gwaru pomieszczenia. Od razu otoczyły go wonie gotowanych potraw, piwa i potu, tak charakterystyczne dla tego typu przybytków.

Karczmarz postawił na jednym ze stołów zamówione dzbany z piwem i śpiesznie podszedł do gościa, który w przeciwieństwie do większości klientów sprawiał wrażenie człowieka z wypchanym mieszkiem. Na widok munduru Republiki Siedmiu Zjednoczonych Prowincji rozmowy przycichły, nie licząc tych bywalców, którzy byli zbyt pijani, by zauważyć obecność choćby samego księcia.

– Służę, panie. Zara jaki czysty stół się znajdzie. – Gospodarz z przymilnym uśmiechem wycierał dłonie w pożółkły, upstrzony tłustymi plamami fartuch.

– Nie szukam jadła a kobiety – usłyszał w odpowiedzi.

– Toż i dziewki mamy u siebie...

– Szukam hrabiny Grotenhius. – Żołnierz uciął zdanie w połowie.

– Aaa, jaśnie pani... Zara przyślę chłopaka, to cię poprowadzi, panie. Podeślę też półmiski z pieczoną sarniną i dzban przedniego piwa, o ile sobie życzycie. Mam też pokoje.

Na wspomnienie jadła porucznik poczuł, jak ślina napływa mu do ust.

– Nie zabawię długo, ale strawę przyjmę i napitek również. – Rzucił karczmarzowi srebrną monetę, a ta szybko zniknęła pomiędzy licznymi fałdami odzienia zażywnego gospodarza.

– Jak sobie życzycie, panie, jak sobie życzycie.

Po chwili podeszło do niego nieledwie odrośnięte od ziemi pacholę.

– Eee, tatko kazał zaprowadzić. – Ciekawie łypał na służbowy rapier porucznika. – Tędy, panie, chodźcie.

Hrabina ubrana była tym razem w intensywnie czerwoną suknię, która podkreślała strzelistość jej sylwetki i rozpalała zmysły niczym kowalski miech palenisko. Na widok oficera klasnęła w dłonie z uciechy.

FRAGMENT POWIEŚCI

– Bóg mi cię zsyła, poruczniku. Jak mniemałam, honorowym człowiekiem jesteś, panie...?

– Tobias van der Halen, do usług. – Mężczyzna wykonał dworny ukłon. Po prawdzie ta kobieta onieśmielała go i pociągała bardziej, niżby miał ochotę to przyznać nawet przed samym sobą. Szła do głowy niczym dobry trunek, a jej zmysłowo niski głos zdawał się zdolny skruszyć nie tylko męskie serca, ale i kamienie. Poza tym ciekaw był wielce, przed czym uciekała, omal nie przypłacając rajdu życiem. A może to była tylko wymówka, by ją ujrzeć jeszcze raz? By usłyszeć gardłowy śmiech i posiąść, obiecując wyimaginowaną pomoc? Niech tam, wojna to czas ulotnych chwil i wykorzystanych lub straconych okazji, którym nie dane będzie zdarzyć się powtórnie.

– Mości Tobiasie, racz więc spocząć. – Gospodyni przerwała ten sen na jawie i wskazała jedyne w pomieszczeniu solidne krzesło. Sama przycupnęła na krawędzi wysokiego łoża, które od drewnianej skrzyni odróżniała jedynie wyściółka.

Widząc jego ciekawe spojrzenia, wydęła pełne wargi z cichym pufnięciem.

– Skromnie tu, ale bezpiecznie, a niewiasta w moim położeniu grymasić nie powinna.

– A właśnie, droga pani, w głowę zachodzę od naszego niefortunnego spotkania przy Bydlęcej Bramie, co też zmusiło damę twojej proweniencji do próby pośpiesznego oddalenia się z miasta, która od panicznej ucieczki różniła się... niczym się nie różniła. – Błysnął zębami. – W czym też mógłby być pomocny niezbyt zamożny oficer księcia Hendrika i jaką monetą odpłacisz, pani, za fatygę?

W tym momencie usłyszeli pukanie i do izby weszła niemłoda już karczmarka, dźwigając drewnianą tacę zastawioną mięsiwem, żytnimi plackami i dzbanem z piwem. Postawiła ją na skromnym, ale solidnym stoliku i oddaliła się bez słowa. Kolejne kilka minut słychać było jedynie odgłosy jedzenia, a trzeba przyznać, iż strawa i napitek, choć proste, były przepyszne.

FRAGMENT POWIEŚCI

– Więc? – Młody porucznik otarł dłonią lśniące od tłuszczu usta. – W czym mogę być pomocny, zważywszy, iż rankiem opuścimy z kompanią okolice Emmerich?

– Chciałabym, drogi poruczniku – zaczęła i dolała mu usłużnie piwa – byś jeszcze tej nocy pomógł mi wydostać się poza mury.

Milczeli kilka chwil, taksując się wzrokiem i nieśpiesznie sącząc napitek. Mężczyzna pierwszy opróżnił kubek i stuknął nim o blat stołu tak głośno, iż gospodyni drgnęła mimowolnie.

– To niemożliwe, droga pani, i powiedziałem to już podczas naszego pierwszego spotkania. Gdybym jednak poznał przyczynę pani strachu, może znajdziemy inne wyjście, by zaradzić kłopotom? Chętnie pomogę, o ile zdołam, a ty, pani, znajdziesz sposób, by mi wyrównać fatygę.

– Dobrze więc, liczę, iż po wysłuchaniu mojej opowieści zmieni pan zdanie. Bacz tylko, by to, co powiem, pozostało między nami. Mam twoje słowo?

– Daję ci je, hrabino.

– Nie jestem hrabiną Grotenhius, panie, a córką kupca winnego van der Groota z Amsterdamu. Przybyłam na rekonesans z niewielką świtą do Emmerich ledwie miesiąc temu. Miałam poślubić burmistrza tego miasta, szacownego Filipa van Wassenaera, którego łączyły z moim ojcem stare więzy przyjaźni i słowo, iż gdy nadejdzie czas i sposobność, połączą rody więzy silniejsze niźli tylko wspólne interesy. Bóg pokarał mnie jednak miłością jego syna Unico, który ubzdurał sobie, iż to on pojmie mnie za żonę.

Na bladą twarz niewiasty wstąpił pąsowy rumieniec wzburzenia.

– Ojca, by nie przeszkadzał w planach, otruł, czego jestem pewna, sam bowiem mi o tym opowiedział, licząc, iż zyska tym moją przychylność. To człek podłej postury i charakteru, bo zapiekły jest w nienawiści okrutnie, a jak mi też doniesiono, gustuje jednako w niewiastach i młodych chłopcach. Gdy odmówiłam... – Głos uwiązł jej w gardle i zamilkła. – Gdy oznajmiłam, że wracam do domu, uwięził mnie – wyszeptała po chwili – w piwniczce z winami, skuł łańcuchami, bym, jak to powiedział, nieco skruszała. A żeby nie było mi tam zbyt nudno,

FRAGMENT POWIEŚCI

przychodził wieczorami, pił i... – Zamilkła na dobre, patrząc niewidzącym wzrokiem przed siebie. Na kilka chwil zniknęła pewna siebie kobieta, a spod maski wyjrzało zalęknione i skrzywdzone dziewczę. Zwyczajną w takich okolicznościach podejrzliwość zastąpiły u Tobiasa troska i wzburzenie.

– A twoi ludzie, pani? Przecież ojciec nie przysłał cię tu samej?

– Ślub miał się odbyć za miesiąc i wtedy planował zjechać do Emmerich mój tatko i reszta rodziny. Do tego czasu miałam do dyspozycji pięciu służących i pokojową, zresztą to oni pomogli mi uciec z więzienia. Dwóch zabiliście, panie, tam przy bramie, trzech po wszystkim uciekło i nie winię ich za to, pokojowa zaś zniknęła tego samego dnia, w którym zamknęły się za mną drzwi piwnicy. Teraz syn mojego niedoszłego małżonka nie szczędzi złota na poszukiwania, stąd... – Zatoczyła krąg ręką. – ...takie niecodzienne miejsce, w którym się skryłam. A to... – Roztroczyła ciasny mankiet rękawa sukni. – ...byście mieli pewność, że to nie rojenia rozpalonej, egzaltowanej białogłowy, a czysta prawda. – Podciągnęła materiał, ukazując na nadgarstkach liczne pręgi otarć. – Pomożesz mi tedy, panie oficerze, umknąć, póki wasza obecność spowalnia niecne poszukiwania?

Tobias van Halen liczył wprawdzie na słodką noc w objęciach pięknej kochanki i poranną ucieczkę okraszoną jedynie pustymi obietnicami, ale kim by był, gdyby nie pomógł tej biednej kobiecie? Jakim potworem trzeba być, by zabić własnego ojca i pohańbić niedoszłą macochę? Nic też dziwnego, iż ta piękna i niewinna istota postawiła wszystko na jedną szalę, próbując uciec z miasta. Powinien ją przepuścić i teraz czuł ciężar winy na swoim sumieniu.

– Pomogę ci, pani.

Po tych trzech słowach twarz kupieckiej córki jakby obmyły promienie porannego słońca. Przyskoczyła do niego i złożyła na brodatym policzku mokry, pełen łez pocałunek.

– Dziękuję, panie. Są jeszcze dobrzy ludzie na świecie. Bóg wynagrodzi ci twą pomoc stukrotnie. Ale... – Widać było, że radość niemal odbiera jej dech. – ...czy warty nas przepuszczą?

FRAGMENT POWIEŚCI

Spis treści

FRAGMENT POWIEŚCI

Podziękowania 5

Rozdział 1. Onderkoopman Jeronim Kornelisz 7
Rozdział 2. Szeregowy Wiebbe Hayes 51
Rozdział 3. Flota 91
Rozdział 4. Rejs 99
Rozdział 5. Śmierć nadchodzi wraz ze świtem 277
Rozdział 6. Australia 291
Rozdział 7. Komandor Franciszek Pelsaert 353
Rozdział 8. Rozbitkowie 379

Tło historyczne 477
Bibliografia 509

FRAGMENT POWIEŚCI

FRAGMENT POWIEŚCI

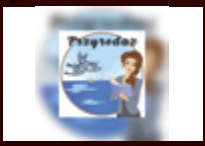

RADOSŁAW LEWANDOWSKI

Absolwent dwóch kierunków studiów: na Wydziale Zarządzania i Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Autor powieści:
- „Yggdrasil. Struny czasu" i „Yggdrasil. Exodus" (przetłumaczone także na język angielski)
- „Wikingowie. Wilcze dziedzictwo"
- „Wikingowie. Najeźdźcy z Północy"
- „Wikingowie. Topory i sejmitary"
- „Wikingowie. Kraina Proroka"
- „Wyprawa po śmierć".

Autor dwóch poradników dla pisarzy: „Kuchnia pisarza" i „Jak napisać i wydać powieść?".

Strony i fp:
https://radeklewandowski.pl/
https://web.facebook.com/WikingowieWilczeDziedzictwo/
https://www.facebook.com/australijskiepieklo
https://radeklew.wixsite.com/wikingowie

FRAGMENT POWIEŚCI

„Australijskie piekło" to napisana z rozmachem epicka opowieść o zdradach, namiętnościach i walce o przywództwo. **bookhunter.pl**

Klimatyczna, wciągająca w świat siedemnastowiecznych marynarzy opowieść pełna zaskakujących wydarzeń i niesamowicie szczegółowych opisów. **nakanapie.pl**

Czas zatopić się w tej historii i poczekać, co morze wyrzuci na brzeg: bohaterskie czyny czy gorycz porażki? „Australijskie piekło" ma dla każdego inne oblicze. **dużeka.pl**

„Australijskie piekło" to marynistyczny mariaż historii z literaturą, popkulturalny ewenement podsycany bryzą ludzkiej niedoli. Polecam! **sztukater.pl**

Powieść rozmachem i klimatem nieustępująca „Buntowi na Bounty". Autor przedstawia burzliwe losy bohaterów w ogniu wojny trzydziestoletniej w czasach: kardynała Richelieu, Kartezjusza, Olivera Cromwella i procesów czarownic. Więcej, czytelnik wyruszy na morską wyprawę pełną podstępów, szaleńczej odwagi, gwałtów, honoru i... miłości. Wszystko w otoczeniu nieskrępowanej przygody: lądowych batalii, morskich bitew i wypraw w głąb Czarnego Lądu.

„Australijskie piekło" jest rozbudowaną, twórczą relacją z rejsu holenderskiego statku Batavia z początku XVII wieku uznawanego przez historyków za pierwszą stałą obecność Europejczyków u wybrzeży Australii.

Seksualne niewolnictwo i mordy czynią z powieści połączenie „Władcy much" Williama Goldinga z horrorem „Sinister" Scotta Derricksona. Trudno więc uwierzyć, iż choć część przygód jest literacką fikcją, te najstraszniejsze wydarzyły się naprawdę.

FRAGMENT POWIEŚCI

SZTUKATER.PL
dużeKa.pl
HISTORYKON.PL
Katedra www.katedra.nast.pl
LUBIĘ CZYTAĆ
na kanapie.pl
opętani czytaniem
Secretum.pl
BookHunter.pl
WRITERAT

BUKEBUK

ISBN 978-83-957499-2-6

Cena: 39,90 zł